

VarArt

pismo kulturalno-literackie
NR 03/2016 (32)



www.wbp.olsztyn.pl

MOWA
TRAWA



ISSN 2080-1483

URSZULA WITKOWSKA

Sztuka słuchania

To nawet nie wspomnienie, to jedno podsłuchane zdanie, które rozpaliło wyobraźnię lata temu. Po prostu kiedyś usłyszałam, jak ktoś powiedział, że mój dziadek biał, że najbardziej lubił opowiadać o strzygach i że wieczorami zbiegały do niego dzieci z wioski, by słuchać, jak mówi. Że to były ciężkie czasy, a on nawet trochę umiał czytać, a czego nie doczytał, to domyślił.

Nie znałam dziadka. Nim się urodziłam, umarł. Kiedyś nawet nie wiedziałam, że dzieci w ogóle mają jakichś dziadków. Zdawało mi się, że mają tylko babcię, i to też nie za długo. Takie babcie z kieszeniami pełnymi miętowych, pudrowych cukierków. I te cukierki są najcenniejszym darem i przekazuje się je zawsze w tajemnicy. Z kieszeni w kieszeń. Czasem prosto w dłoń, którą zwykle wtedy obejmuje inna — spracowana, pomarszczona. I później je się te cukierki potajemnie na nudnych imieninach u ciotki czy wuja i tylko zerka w stronę drzwi, za którymi drzemie ona. I czuje się wtedy ciepło, a dopiero lata później odkrywa, że mięta chłodzi i orzeźwia.

Nie pamiętam, o czym opowiadała babcia, ale pamiętam spokojną melodię jej głosu i smak tamtych cukierków. A nieznanego dziadka schowałam sobie na dnie serca w tym jednym zdaniu wypowiedzianym przez znajomego mojego ojca. Ów znajomy przywitał się z nami kordialnie pewnego dnia lata temu, gdyśmy wracali, nawet nie pamiętam skąd. Stanęliśmy na chodniku — oni zatopieni w rozmowie, ja zapomniana, drobina przy ich nogach, uwieszona ojcowskiej ręki. Wpatrywałam się szeroko otwartymi oczami w nierealnie wysokiego, obcego mężczyznę.

Mogło mnie tam nawet nie być, a jednak usłyszałam to zdanie i kiedy teraz o tym myślę, to wyobrażam sobie tę scenę, jakby słowa tego mężczyzny obysypały mnie niczym pierwszy śnieg, którego drobinki osiadły wtedy na mojej głowie, twarzy, moich ramionach, roztopiły się i wniknęły głęboko. Dzięki nim zaczęłam wymyślać pierwsze dziecięce bajeczki, nim nauczyłam się pisać — chciałam być jak dziadek, o którym ten wysoki, obcy ktoś mówił z takim uczuciem! Później na skrawkach bazgrałam nieudolne wiersze, teraz wystukuję na klawiaturze kolejne zdania opowiadań, które chowam w popłochu do szuflady. Nawet jeśli nikomu ich nie chcę pokazać, to mieszka we mnie potężna siła, która każe mi je pisać, a później choć raz przeczytać na głos. Choćby samej

sobie. I zawsze, kiedy siadam do pisania, przypomina mi się tamten moment.

To zabawne, bo nie rozumiałam wtedy nawet, co znaczy „bajać”, nie wiedziałam, co to „strzygi”, a nawet tak dokładnie, kto to „dziadek”... Ale czułam, że to chwila uroczysta. Fundament. Później długo trzeba było pracować, by powstał na nim choćby wąty szkielet domu. Stale go buduję, bo co pewien czas jakaś ściana się wali i trzeba zaczynać od nowa. Ale fundamenty się trzymają.

No i w obecności dzieci zawsze staram się pamiętać, że choć nam, dorosłym, zdaje się, że dzieci nie słuchają, jest inaczej. One są w tym dużo lepsze od nas! One słyszą.

Są zanurzone w słowach, otulone nimi jeszcze nim się pojawią na świecie. Już gdy rodzice rozmawiają o przyszłości w oczekiwaniu, już gdy wybierają imię, marzą, już wtedy dzieci są w ich słowach. Jeszcze nim — To dziewczynka! — krzyknie płożna, albo — To chłopiec!

A i my, którzy już jesteśmy, choćbyśmy byli gadułami, jakich mało, po śmierci zamilkniemy, ale zbiorą się nasi bliscy i dalsi, i będą wspominać. I wtedy też będziemy. W ich słowach.

Bo jesteśmy opowieściami — tymi, które snujemy sami, ale też tymi, które snują o nas inni. Splotamy się ze sobą, supłamy, rozrywamy.

Na co dzień wchodzimy w dialog, który też ma swoje miejsce w narracji. A ile treści jest w ciszy? To dopiero studnia! Wiem, to nic odkrywczego, ale czasem oczywistości też powinno się wypowiedzieć na głos. Lepiej wtedy słyszeć.

A to ważne, bo przecież nim zaczniemy mówić, już słuchamy. Trzeba dbać o tę sztukę, bo zanika, gdy się o nią nie troszczymy. To pierwszy krok do współsnucia opowieści, która składa się z naszych dni, godzin, minut, w której jesteśmy zarazem jednym z wielu wątków i jednocześnie przecież głównym. Słuchanie wymaga wzajemności jak rozmowa, a bez czytelnika najlepsza książka to zwykły przedmiot, nie opowieść.

Mamy dwoje uszu, a tylko jedno usta. Może to drogowskaz, który daje nam natura?

02 PROZA

URSZULA WITKOWSKA: Sztuka słuchania

04 WARMIA

ŁUKASZ RUCH: Moja i Ich, gwara warmińska

05 O JĘZYKU

JOANNA CIEŚLIŃSKA I MONIKA KOWALEWSKA: Polaków język ojczysty
Gdzie przecinek, gdzie kropka, gdzie...

06 WYWIAD

Powinniśmy być zauważalni w mieście: Z BENEDYKTEM BŁOŃSKIM
rozmawia KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

10 POEZJA

DMITRIJ GRIGORIEW: przełożył Krzysztof D. Szatrawski

12 PROZA

PIOTR SIWECKI: Skurcz

14 POEZJA

BOŻENA BOBA-DYGA

15 GALERIA

WERONIKA TADAJ-KRÓLIKIEWICZ

18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

JADWIGA BOLIŃSKA: Ale i tak człowiek był szczęśliwy...

20 LITERATURA REGIONALNA

ANITA ROMULEWICZ: Poeci warmińscy do zadań specjalnych

22 WYWIAD

EWA ZDROJKOWSKA: Regina, Klara, Zofia i inne

25 INICJATYWA

ANDRZEJ ZB. BRZÓZOWSKI: A jednak po nich coś zostało...

26 WARMIA

OSWALD KOWALEWSKI: Opowieści z Warmii

28 INICJATYWA

MAŁGORZATA JACKIEWICZ-GARNIEC I GRAŻYNA PRUSIŃSKA:
MOC SZTUKI. Kolekcja sztuki współczesnej
W-M Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Olsztynie 2005-2016

29 FELIETON

MARIUSZ KUKLIK: Bakcyl drukarski

30 PROZA

TERESA DWÓRZNIK-ROMAŃSKA: Kłosek

31 WIEK MĘSKI

WALDEMAR TYCHEK: Milcz, gdy do mnie mówisz

W NUMERZE 03/2016:

Mowa trawa — wokół dużo słów, jak trawy. I jak trawę trzeba słowa pielęgnować. O tym, jak ważne są zdźwięka słów, które usłyszymy w dzieciństwie, zapewnia nas Urszula Witkowska. Do tego, aby wzrastać wśród dobrych wzorców literatury regionalnej, namawia Anita Romulewicz, zaś o wzrastaniu duchowym w wywiadzie z siostrami katarzynkami rozmawia Ewa Zdrojkowska. Jak w sercu zasiać ziarno drukarskie poinstruuje Mariusz Kuklik, a do zebrania plonu sztuki współczesnej zachęca Małgorzata Jackiewicz-Garniec i Grażyna Prusińska. O kultywowaniu gwary warmińskiej pisze Łukasz Ruch, a że z językiem nie ma żartów i trzeba go strzyc, przypominają Monika Kowalewska i Joanna Cieślińska. Do czego może służyć kłosek zbóż odkryje Teresa Dwórznik-Romańska. W gąszczu słów muzykę odnajdzie dyrygent Benedykt Błoński, zaś drogę w labiryncie języka wskaże Waldemar Tychek. W bujny świat poezji i prozy wprowadzą nas Piotr Siwecki, Bożena Boba-Dyga oraz Dmitrij Grigoriew (w przekładzie Krzysztofa D. Szatrawskiego). O życiu wśród warmińskich jezior i łąk opowie Oswald Kowalewski, a o widoku z olsztyńskiego wieżowca — Jadwiga Bolińska. Ruch falujących traw na wietrze przypomina nam o ciągłości, jaką stanowimy z tymi, którzy od nas odeszli — wspomnieniem o nich dzieli się z nami Andrzej Zb. Brzozowski.

Aby ziarna słów padały na żyzną glebę, a mowa była czymś, co pielęgnowujemy, siejącym życzy

Redakcja

VariArt

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 03/2016 (32)Wydawca:
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.plWspółwydawca:
Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.republika.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.comZespół redakcyjny:
Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Maja Dzieciątek, Monika Kowalewska,
Krzysztof D. Szatrawski
e-mail: variart@wbp.olsztyn.plGrafika: Przemek Kozak, skład: Patrycja Zdanewicz
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski OlsztynZrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

ŁUKASZ RUCH

Moja i Ich, gwara warmińska

Często słyszę, szczególnie ostatnio, że gwara warmińska to dawna mowa mieszkańców południowej Warmii. Dziś już taki „zabytek niematerialny”, za sprawą wpisu gwary warmińskiej jako nośnika tradycji ustnych na krajową listę dziedzictwa niematerialnego UNESCO.

Dla mnie warnijsko godka to żaden zabytek, to nic dawnego, to mowa moich dziadków, to moja mowa, którą kiedyś dzięki nim poznałem. Czy ją znam? Mogę tak powiedzieć, jednak cały czas się jej uczę, cały czas ją poznaję, a ona ciągle mnie zaskakuje. Niektórzy myślą, że aby mówić po warmińsku, wystarczy zamienić kilka głosek w polskim wyrazie. Przyznaję, że kiedy zaczynałem, to dokładnie tak myślałem, ale babcia i dziadek szybko mnie uświadomili – to nie tak, Warnijok tak nie mózi.

Moich dziadków, po warmińsku ópów, wcale nie było łatwo namówić na to, bym ja tę gwarę poznał. „Na co ci to” – usłyszałem pewnego dnia, gdy przyszedłem po pomoc w napisaniu pierwszego tekstu w gwarze. Oni pamiętali, że był taki czas, w którym tego, że jest się z Warmii, trzeba było się wstydzić, że wtrącić coś lub nazwać obojętnie jaki przedmiot „po naszamu”, gdzieś w gronie obcych, to było wręcz nie do pomyślenia. Warmińskiego akcentu często nie dało się jednak ukryć i mogła za niego spotkać już tylko przykreść.

Dziakowie pewnego dnia chyba jednak zrozumieli, że czy chcą, czy nie chcą, to ja i tak po warnijsku banda godał. Gdy zacząłem więcej pisać i czytać po warmińsku, gwara zaczęła do mnie nieraz wręcz sama przychodzić, niewiadomo skąd w mojej głowie pojawiały się te warmińskie nazwy. Później uświadomiłem sobie, że to nic nadzwyczajnego i na pewno to nie żaden geniusz. Ja te słowa znałem, gdzieś je słyszałem, a słyszałem je kiedyś w moim domu z ust moich dziadków, mojej prababci. Oni często nazywali pewne przedmioty, zjawiska w swojej warmińskiej mowie. Dlatego do piątego roku życia firanka w oknie to była gardyna, a mały taboret do dziś jest fustretkó.

Aby usłyszeć gwarę z ust bliskich, wystarczyło często tylko narozrabiać,

wtedy padały słowa: ty szurku, ty lorbasie. Prawdziwe godanie po warnijsku było jednak wtedy, gdy w naszym domu pojawiali się sąsiedzi, znajomi, star-si członkowie rodziny, którzy w tym małym gronie mówili piękną gwarą warmińską. Opowiadali różne historie, wspominali dawne czasy, często przy tym nieco plotkując. Dla nich zwyczajne rozmowy, często gdzieś troszkę podsłuchi-wane, były dla mnie ciekawą lekcją o tradycjach, zwyczajach, przekonaniach i wielu innych rzeczach charakterystycznych dla Warmii i Warmiaków.

Nieraz ktoś pyta, tak jak dziadkowie kiedyś – na co ci to, do czego ci ta gwara? Sam nie wiem. Na pewno chcę, żeby przetrwała, bo dzięki niej znamy zwyczaje i tradycje tej krainy. Bo, jak powiedział kiedyś prof. Andrzej Markowski, „język, mowa jest podstawą przekazywania kultury”. Tu na południowej Warmii ta prosta warnijska godka niosła w pokolenia to, co ważne, więc chyba dlatego warto ją znać.

Mnie dzięki znajomości tej gwary łatwiej jest rozmawiać ze starszymi Warmiakami. Łatwiej jest pokonać dzielący nas dystans wiekowy i nieufność zakorzenioną gdzieś w ich podświadomości przez te trudne lata, kiedy to, co dziś nas interesuje, było tematem tabu.

Dziś staramy się poprzez ten wpis, warsztaty gwary, konkurs zachęcić młodych ludzi do poznawania warmińskiej mowy. Nie zmuszamy, by gwarą mówił każdy, nie mówimy, że gwara ma wrócić na solony, bo ona na nich nigdy nie była. Chcemy pokazywać Warmię, ponieważ wielu ludzi nazywa się Warmiakami, niewiele wiedząc o tym kawałku ziemi, na którym przyszło im żyć.

Ja mam o tyle dobrze, że nie muszę zastanawiać się, kim jestem, bo jestem Warmiakem po dziadkach, po rodzicach, ale poznaję tę przeszłość przede wszystkim dla siebie. Dziś, choć moich dziadków już nie ma, wiem, że zostało mi po nich to, co najcenniejsze: wspomnienia, rozmaite historie i ta piękna mowa, moja i Ich – gwara warmińska.

**Verba volant
scripta
manet
słowa ulatują
pisma pozostają**

Plakat składany i drukowany ręcznie, Mariusz Kuklik,
Pracownia Starych Technik Drukarskich, WBP w Olsztynie

JOANNA CIEŚLIŃSKA I MONIKA KOWALEWSKA

Polaków język ojczysty

Gdzie przecinek, gdzie kropka, gdzie...

Bo śpiewać karzdy morze, troche lepiej albo troche gożej. A jak śpiewać to i, muwić. I pisać tesz! Bo piszemy fcionsz i nieustanie. F szkole, domu, pracy. W zeszytach, kalendażah, na skrafkach serwetek. Na fejsie, titerze i insta. Długopisem, piurem, ołufkiem, smartfonowym rysikiem. Alewarzniejszaottegogdzieiczypiszemyjesttrespogotegoprzekazu. I forma! (chodź nie ta gombrowiczoska)

Czy istnieje komónikacja bez orto grafi i inter-punkcji? Po cusz biedzić się, pocić, goronczkować, zembiskami zgżytać, śfiat pszeklinać, bo nie takie u ó ż rz ch h, bo to razem atorozdzielnie bo, mimorze zasada tak to uzus i tak swoje wje lepiej. Dogadać to byśmy sie jakoś dogadali dlaczegusz by nie? Ale co to by była za rozmowa? Niufanse gramatyczne i semantyczne wychodzo na wiesz czesto niespodzianie, zaskakuj o odbiorcow z za roga i nie fspierane warsztatowo szes jenzyk mogom nam nabróździć. Ot psubraty lingwistyczna swołocz i ...

Bo to zafsze dluzej ten przecinek, w odpowiednim mniejjscu fstawić nad końcufkom sie zastanowic a tu czas cenny ucieka! A czas to pieniondz, moi Mili państfo!

Jusz szymborska Pisała:

żyjemy dłużej,

ale mniej dokładnie

i krótszymi zdaniami.

Krótszymi zdaniami, w 160 znakach, szybciej i łatwiej napisać wiadomość via sms lub mailem, nie wytężając swych palców wciskaniem altów, i tak przecież każdy zrozumie, o co nam chodziło, szło, czasem biegało. I po co zażółcać tę gęślą jaźń, kiedy można napisać po prostu po polsku. A jednak jakoś dziwnie byłoby bez tej naszej językowej trudności. Kimże byłby Polak, gdyby, niczym gęś, języka swego nie miał? O to pytano już dawno, a dziś jakby zapomniano, że taki nasz urok, że to my mamy tak źle, kiedy inni mają tak dobrze, bo i bez ę i ą, bez ż i ź i wielu innych, od których boli głowa i łamie się głos. Na szczęście nie pozostawiono nas bez ratunku. Swą radą raczą nas profesorowie w poradni (bynajmniej nie takiej, o jakiej myślicie) językowej. Kiedy już nie ma rady, kiedy słownik daleko i tży cisną się do oczu z braku stosownych synonimów, a słowo stanąć na papierze musi, na placu boju zawsze pozostają Oni. I na pytanie, po co nam ortografia i jak argumentować potrzebę jej stosowania, odpowiadają: „Nie tszeba kilku argumentuf, wystarczy śe pszyjzeć, jak by wyglondał tekst zapisany ze słuhu, f kturym zruwnanoby ruźne litery odpowiadajonce tym samym dźwjenkom” (Miroslaw Bańko).

Z BENEDYKTEM BŁOŃSKIM ROZMAWIA KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Powinniśmy być zauważalni w mieście

Z Olsztynem jesteś związany nierozłącznie, to Twoje miasto rodzinne?

Nie. Urodziłem się 21 marca 1957 r. w Muszakach pod Nidzicą. To jest wieś, w której niegdyś znajdował się poligon wojskowy. A do Olsztyna przyjechałem do Szkoły Muzycznej, gdy byłem w szóstej klasie szkoły podstawowej. Najpierw mój starszy brat uczył się tu w klasie trąbki. I to on mnie w jakimś sensie ściągnął do Olsztyna. Jako dziecko miałem prawdopodobnie piękny głos, bo występowałem przy każdej możliwej okazji: na akademiach czy jako harcerz przy ognisku, śpiewałem czysto, miałem poczucie rytmu i to sprawiło, że brat zachęcił mnie do nauki muzyki. Na początku zamieszkałem z nim w jednym pokoju w internacie, pilnował mnie i wprowadzał w samodzielne życie.

W życiu jedenastolatka taka samodzielność jest poważnym egzaminem, ale powoduje też, że szkoła staje się drugą rodziną...

A spędziłem w niej 9 lat! Początkowo w podstawówce, później w szkole średniej. Równocześnie uczyłem się w Technikum Budowlanym na specjalności: dokumentacja budowlana. Wybór nie był przypadkowy. Marzyłem, że zostanę architektem i stąd decyzja o uczęszczaniu do klasy, w której było najwięcej przedmiotów związanych z projektowaniem — projektowanie architektoniczne, projektowanie konstrukcyjne, rysunek odręczny, rysunek techniczny.

W biografiiach muzyków nierzadko można spotkać młodzieńczą fascynację architekturą.

To wszystko bardzo mnie pociągało i na początku uczyłem się wszystkiego z rosnącą nadzieją, że będę kiedyś konstruował niezwykle budowle. Kiedy jednak poszedłem z tym otwartym umysłem na praktykę do biura projektów, przeżyłem rozczarowanie. Okazało się, że na wszystko są normy, a projekty są rozwiązaniami typowymi. Przykładem były pierwsze domy na Dajtkach — pudełkowate, budowane jednakowo, różniące się tylko kolorem elewacji. Dopiero później, kiedy już pozwolono na przebudowę, dodawano dachy i osiedle zaczęło się zmieniać. I kiedy się okazało, że w budownictwie nie ma miejsca na fantazję, że wszystko jest tak bardzo ograniczone przepisami, doszedłem do wniosku, że jednak muzyka jest przestrzenią, w której można się wykazać inwencją, można pokazać swoją osobowość. Dlatego też znów większy nacisk położyłem na naukę w szkole muzycznej i te 9 lat przeleciało nie wiadomo kiedy.

Ale 9 lat to i tak dość krótko...

W tamtym czasie były 4 lata „młodzieżówki” i 6 lat szkoły średniej. Ale

średnią ukończyłem po 5 latach, a to dzięki temu, że dwie klasy zrobiłem w ciągu jednego roku. Dzięki temu po maturze mogłem zdawać na studia muzyczne.

To były czasy, gdy dyrektorem był Roman Urbanek.

Tak, ale kiedy zaczynałem szkołę, dyrektorem była Iza Garglinowicz — niezwykła postać w olsztyńskiej kulturze, była dosłownie wszędzie. Później dyrektorką była Zofia Pawlik, a dopiero w 1976 r. dyrektorem został Roman Urbanek. Na pierwszym roku uczyłem się jeszcze w „patacyku” na ul. Nowowiejskiego, nowa szkoła była w budowie, chociaż już wówczas część zajęć odbywała się w internacie przy szkole.

Od początku byłeś w klasie akordeonu...

Najpierw u pani Haliny Kozłowskiej, jeszcze w internacie, a później u Michała Jaroszewskiego, który do Olsztyna przeszedł z Wałbrzycha i przejął klasę pani Kozłowskiej. Byłem dziewięć lat w klasie akordeonu.

Ale grałeś nie tylko solo, był także zespół... i to z sukcesami!

Kwintet akordeonowy, w którym grałem drugi akordeon, pierwszym akordeonistą był Zbyszek Ostrowski. Rzeczywiście z sukcesami — na przykład dwukrotnie wystąpiliśmy na Ogólnopolskim Konkursie Zespołów Szkół Muzycznych II stopnia we Wrocławiu, raz przywieźliśmy wyróżnienie, a za drugim razem zdobyliśmy trzecie miejsce. Ten drugi konkurs wypadł akurat w dniu mojej studniówki w Technikum Budowlanym... W rezultacie nie byłem na swojej studniówce.

To też część zawodu muzyka...

Takie sytuacje się zdarzają. Kiedy planujemy wyjazd na festiwal z dużym wyprzedzeniem, na przykład rok naprzód, zaangażowany jest cały chór, czasami ponad czterdzieści osób, których zawieść nie wolno. Bywa tak, że musimy zrezygnować z wielu nawet bardzo ważnych uroczystości. W ten sposób nie pojechałem na ślub swojego brata, który do tej pory nie może mi tego wybaczyć.

Kto jeszcze grał w kwintecie?

Oprócz wspomnianego już Zbyszka Ostrowskiego w kwintecie akordeonowym grali Krzysztof Płocharski, Mirek Budzień i Janek Tumiel na akordeonie basowym, a później za Mirka do zespołu wszedł Darek Waszak.

Osiągałeś sukcesy jako instrumentalista, ale na studiach wybrałeś chóralistykę. Co zadecydowało Twoim o wyborze?

Studia zaczynałem jeszcze w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie, która dopiero po roku zyskała status Akademii Muzycznej, a obecnie jest Uniwersytetem Muzycznym. Pierwszym moim profesorem był pan Bogdan Mazurek, dyrygent Chóru Reprezentacyjnego Wojska Polskiego i Chóru Męskiego „Surma”. Ale to jeszcze nie był moment na podejmowanie takich decyzji.

Pochłonął Cię wir studenckiego życia?

Na początku mieszkałem ze Sławkiem Tomasikiem na tak zwanym „Kicu” — to był akademik Uniwersytetu Warszawskiego. Janusz Lewandowski, który studiował muzykologię, również mieszkał „na Kicu”, gdzie działał w Radiu Kickim. I właśnie Janusz wciągnął mnie do pracy w radiu, gdzie udzielałem się na początku studiów. Ale rok wyżej byli moi koledzy Michał Hołownia i Andrzej Borkowski, którzy mieszkali w Dziekance i z Dziekanką od początku byłem bardziej związany — po prostu spędzałem tam więcej czasu. Kiedy po pierwszym roku zwolniło się miejsce, przeprowadziłem się i od tego momentu moje życie studenckie toczyło się między Dziekanką i Akademią Muzyczną. Kontakt z Radiem Kickim się urwał. Dziekanka to miejsce legendarne i źródło wielu inspiracji, budynek tętniący życiem dniami i nocami. Kiedy pisałem pracę magisterską zdarzało się, że musiałem przenosić się do drugiego skrzydła, bo na przykład o drugiej w nocy zaczynało się jam session, które trwało do rana. Bywało to męczące, ale i fascynujące.

Można powiedzieć, że na Trakcie Królewskim...

Tak! Chociaż bywały wyjątki, kiedy musieliśmy chodzić dookoła. Kiedy wybuchł stan wojenny, byłem na ostatnim roku studiów. Pamiętam, że gdy ZOMO użyło gazu łzawiącego, następnego dnia były jeszcze miejsca, w których trudno było przejść.

Wróćmy do momentu, kiedy podjąłeś decyzję o skupieniu się na chóralistyce.

Kiedy zacząłem studia, Michał Hołownia i Andrzej Borkowski wciągnęli mnie w działalność Chóru Nauczycielskiego przy Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie prowadzonego przez prof. H. Wojnarowskiego. Michał i Andrzej byli w klasie dyrygowania u prof. Wojnarowskiego. Zacząłem w tym chórze śpiewać. Po jakimś czasie dyrygentem chóru został prof. Andrzej Banasiewicz i w momencie kiedy p. Bogdan Mazurek odszedł z Akademii, wziął mnie do swojej klasy dyrygowania. U niego skończyłem studia i zawsze powtarzam, że był moim mistrzem. Zawdzięczam mu bardzo wiele z punktu widzenia techniki dyrygenckiej, wiedzy profesjonalnej, ale przede wszystkim dał mi bardzo wiele jako osoba prowadząca chór, pracująca z ludźmi.

Długa współpraca z zespołem może być traktowana jako miara zawodowego sukcesu chórmistrza. Czy jest jakaś recepta na osiągnięcie równowagi między przyjemnością a wysiłkiem i w rezultacie stworzenie trwałej relacji między chórmistrzem a zespołem?

Przed wszystkim nie wolno traktować ludzi instrumentalnie, należy

szanować ludzi za to, co robią i za to, co chcą robić. Zwłaszcza jeśli są to ludzie nieotrzymujący wynagrodzenia, którzy chcą realizować swoją pasję. W związku z tym należy ich traktować po przyjacielsku, po partnersku, a równocześnie jasno i klarownie pokazywać cel, do którego zmierzamy. Podczas prób bywam bardzo wymagający, spotykamy się po to, żeby osiągnąć ten cel. Po próbie jesteśmy partnerami, możemy się przyjaźnić, natomiast na próbach wymagamy od siebie i od innych. Jeżeli chcemy uzyskać określony efekt, jeżeli oczekujemy szacunku, szanujemy czas i pracę innych.

Do budowania takich relacji z chórami znalazłeś inspirację w pracy swego profesora?

To, że Banasiewicz był moim mistrzem, oznaczało także, że mogłem odnaleźć związek pomiędzy tym, czego uczył na dyrygowaniu, a tym, co robił na próbach i na koncertach. Zarówno zajęcia z nim, jak i uczestnictwo w różnych działaniach zadecydowały o moich losach zawodowych. To tamte doświadczenia przekonały mnie, że najlepszą metodą kształcenia jest wdrażanie studentów do działalności profesjonalnej.

Do tego jednak musiało dołączyć własne doświadczenie zawodowe...

Najdłuższy w moim życiu okres ciągłej pracy z jednym zespołem to współpraca z Chórem im. prof. Wawrzyczka. Rozpocząłem pracę w 1982 r. jako drugi dyrygent, a od 1984 r. byłem pierwszym dyrygentem i prowadziłem ten chór przez 27 lat. To nie tylko najdłuższy okres, ale też najbardziej efektywne lata mojej pracy.

Wróćmy do studiów, które kończyłeś w burzliwych czasach.

Pamiętam, kiedy wybuchł stan wojenny, przygotowywaliśmy się do wyjazdu na koncert przewodowy Banasiewicza. Darek Waszak, z którym mieszkałem w akademiku, przybiegł rano z informacją, że uczelnia jest zamknięta i dzieje się coś bardzo poważnego. Oczywiście wszystkie sprawy zostały zawieszone, ale trzeba było potem wszystkie terminy nadgonić. Nie ukrywam, że dosyć długo zwlekałem z pisanie pracy magisterskiej, a dodatkowo to przesunięcie związane ze stanem wojennym spowodowało, że z opóźnieniem skontaktowałem się z promotorem mojej pracy prof. Antonim Szalińskim. Kiedy przedstawiłem mu temat, który brzmiał „Partia chóralna w utworze *Mesjasz* Jerzego Fryderyka Haendla”, powiedział, że muszę zmienić albo temat, albo promotora. Poszedłem z tym do pani Dziekan i dowiedziałem się, że ani jedno, ani drugie nie jest możliwe. Napisałem tę pracę i została nawet oceniona na piątkę. Podczas obrony promotor, nawiasem mówiąc cudowny człowiek, wypomnił mi ten niefortunny początek, rozpoczynając swoją opinię od słów: „Moje pierwsze kontakty ze studentem Błońskim nie wróżyły nic dobrego, jednak...” Dalsza część jego opinii była już pozytywna.

Trudno było o pracę w 1982 r.? Trwał jeszcze stan wojenny.

Studia skończyłem terminowo i w końcu czerwca przyjechałem do Olsztyna. Udałem się do dyrektora szkoły muzycznej Janusza Lewandowskiego, który

przyjął mnie bardzo ciepło — z miejsca dał mi pół etatu w szkole, powierając zajęcia akordeonu i prowadzenie zespołu wokalnego. Podczas tej samej rozmowy Janusz powiedział, że akurat odszedł z WSP pan Sutt i zwolnił się etat asystenta w Zakładzie Wychowania Muzycznego. Poszliśmy do pani Marii Mikolon, która była kierowniczką zakładu i tego samego dnia zostałem przyjęty do pracy. I jakby tego było mało, Janusz wpadł na pomysł, że skoro Kazimierz Sturmowski, dyrygent Chóru im. prof. Wawrzyczka, poszukuje drugiego dyrygenta, byłaby to dobra pozycja na początek. I w ten sposób jednego dnia zostałem zaangażowany w trzech instytucjach. I właściwie sytuacja ta trwa z niewielkimi zmianami do dziś. Gdyby wciąż jeszcze były w użytku stare dowody osobiste, w których stawiano pieczęć z informacją o zatrudnieniu, to do dziś miałbym tę jedną pieczęć — jestem zatrudniony od 1 lipca 1982 r., kiedy zacząłem pracować w WSP. Później zrezygnowałem z pracy w Szkole Muzycznej, bo wciąż przybywało zajęć i obowiązków. Z Uczelnią i z chórem związałem się na stałe, chociaż zmieniały się nazwy i adresy.

Współpraca z chórem „Wawrzyczki” to znaczące osiągnięcie. Jakie były początki?

Bardzo dobrze ułożyła się współpraca z Kazimierzem Sturmowskim, który życzliwie przyjął mnie jako drugiego dyrygenta, a po dwóch latach powiedział: „panie Benku, myślę, że pan to powinien przejąć, pan jest młody, energiczny i chciałbym, aby teraz pan był tym pierwszym”. I ogłosił to oficjalnie przed zespołem, oferując jednocześnie swoją dalszą pomoc. Było to tak partnersko i sympatycznie przekazane, że w sposób płynny następowała zmiana dyrygenta. Później zarządzałem chórem, pełniłem obowiązki pierwszego dyrygenta, a on nadal występował, jeździł z chórem do Legnicy.

Taka stabilizacja okazała się warunkiem sukcesu — „Wawrzyczki” zdobyły Grand Prix Festiwalu Legnica Cantat dwa lata z rzędu.

Mieliśmy okres przerwy, po którym pojechałem z chórem na Legnica Cantat w 1989 r. Zdobyliśmy Grand Prix. Rok później znów wróciliśmy z główną nagrodą. W 1991 r. też mieliśmy jechać, ale organizatorzy obawiali się, że możemy wygrać i otrzymać lutnię na własność, a były to trudne czasy, więc zaprosili mnie do pracy w jury. W rezultacie nie pojechalismy.

Pierwsze Grand Prix dla chóru z Olsztyna! Pamiętam, że w owym czasie odbieraliśmy to jako oszałamiający sukces. Olsztyn znalazł się w chóralnej czołówce kraju.

To był rzeczywiście duży sukces, ale też chór na ten sukces w pełni zasłużył. Byliśmy w szczytowej formie, mieliśmy oryginalny, atrakcyjny repertuar. Wcześniej byliśmy w Hiszpanii, gdzie były zespoły z Brazylii, z Argentyny. Utwory, które stamtąd przywoziłem, były w Polsce po raz pierwszy — nikt poza nami tego nie śpiewał. I tym repertuarem wszystko przebijaliśmy.

W tym czasie nagrałeś pierwszą płytę — jeszcze w technologii analogowej.

To było w 1991 r. Nagrywaliśmy u Ryśka Szmita w tradycyjnej technologii na taśmie. Każdy utwór nagrywało się od początku do końca trzy, cztery, pięć razy

i później wybieraliśmy najlepszą wersję. Dzisiaj możliwości technologiczne są nieporównanie wyższe, ale tamte płyty mają swego ducha. Są na nich zapisane emocje, które nie są poprzecinane poszczególnymi taktami. Wykonania konstruowano w zamkniętych wypowiedziach — nie było innego wyjścia. I właśnie na tej płycie są utwory, którymi wygrywaliśmy.

Ale sam repertuar nie mógł przecież wystarczyć. Poza tym były także sukcesy zagraniczne.

Były sukcesy i nagrody w Polsce i za granicą. Zdobyliśmy trzecie miejsce w kategorii chórów mieszanych w ogólnościatowym konkursie Let the People Sing, przywoziliśmy nagrody z festiwali w Grecji, Czechosłowacji, Niemczech. Dwa złote medale zdobyliśmy na festiwalach w Prevezza i w Atenach, gdzie wygraliśmy w kategoriach folk i musica sacra. Ostatnio przyszło mi do głowy, że należałoby kiedyś podliczyć, ile przygotowałem utworów dla naszej filharmonii. Chyba żaden chór w Olsztynie nie miał możliwości wykonania tak dużej liczby wielkich dzieł wokalnie-instrumentalnych jak „Wawrzyczki”. Współpracowaliśmy stale z Januszem Przybylskim, Piotrem Borkowskim, Jerzym Koskiem i z Piotrem Wajrakiem, występowaliśmy z filharmonią bardzo często.

Przez dziesiątki lat był to największy chór w Olsztynie.

To jedno, ale poza tym wokół „Wawrzyczków” zawsze panowała dobra atmosfera i jeżeli potrzebny był większy skład, to w ciągu kilku dni można było zmobilizować dużą grupę chórzystów, którzy byli gotowi wesprzeć planowane wykonanie.

Kontynuujesz tę pracę z chórem przy Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej.

Kiedy w 2009 r. podziękowano mi za pracę z Chórem im. prof. Wawrzyczka, otrzymałem ofertę, by założyć chór przy filharmonii. Obecnie nosi on nazwę Chór „Cantores Varmienses” przy Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej. Oprócz tego, że realizujemy swój program a cappella, wykonujemy utwory zamawiane przez filharmonię i są to różne utwory, zaczynając od podstawowego repertuaru wielkich dzieł wokalnie-instrumentalnych, jak na przykład *IX Symfonia* Beethovena, *Requiem* Mozarta, czyli dzieł wielkich mistrzów, prowadzonych także przez wielkich dyrygentów, bo występowaliśmy pod batutą Krzysztofa Pendereckiego i Antoniego Wita. Cenny jest każdy element, który służy rozwojowi zespołu. Uczestniczymy także w wykonaniach muzyki operowej i operetkowej, traktując to jako równie poważne, z profesjonalnego punktu widzenia, zadanie. I to także rozwija zespół. Ruszenie chóru z miejsca jest jednym z najtrudniejszych elementów pracy z zespołem. Chórzyści są przyzwyczajeni do tego, że stoją statycznie i śpiewają, natomiast kiedy mają śpiewać, a przy tym się poruszać, okazuje się to niezwykle trudne. Pamiętam, że na początku prosiłm panią Tatianę Asmołkową z teatru, aby wprowadziła jakieś elementy ruchu scenicznego. Z czasem zespół zaczął się tym bawić.

Współpraca z filharmonią jest zatem korzystna z punktu widzenia zespołu?

Zdecydowanie, zróżnicowany repertuar i stała aktywność koncertowa

Fot. z koncertu z Bazyliki konkatedralnej św. Jakuba w Olsztynie, z archiwum B. Błońskiego

pozwalają na rozwój chóru. W chwili obecnej przygotowujemy Mortena Lauridsena *Lux aeterna*, później *Requiem* Mozarta i *Carmina Burana* Orffa. A przy tym także *Skrzypka na dachu*, pewnie w mniejszym składzie, ale za to z ruchem scenicznym. To wszystko buduje kondycję chóru i przekłada się na jego sprawność w różnych sytuacjach. Dotychczas wzięliśmy udział w dwóch konkursach. W 2010 r. w Bułgarii na konkursie w Primorsko/Kitten zdobyliśmy główną nagrodę, a w 2014 r. w Lloret de Mar w Hiszpanii zdobyliśmy dwa złote medale, jeden w kategorii muzyki rozrywkowej, a drugi — sakralnej. Były także koncerty w Wilnie, Kłajpedzie, Mińsku i Kaliningradzie.

Działalność chórmistrzowską można postrzegać jako część szerszego spektrum dydaktyki. Jesteś dziekanem Wydziału Sztuki UWM, w tym roku rozpoczęłaś drugą kadencję.

Wydział Sztuki jest wydziałem specyficznym. Jest najmniejszy, bo na dwóch kierunkach studiuje łącznie 180 studentów. Ale nie może być inaczej, dlatego że musimy spełniać założenia Ministerstwa Kultury odnoszące się do akademickiego szkolnictwa artystycznego, choć jako wydział podlegamy pod Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Z drugiej strony Wydział Sztuki ma bardzo mocną kadrę, której większość stanowią samodzielni pracownicy. Na kierunku Edukacja artystyczna w zakresie sztuki muzycznej jest pięciu profesorów tytularnych. Ten potencjał jest podstawą dydaktyki, która musi spełniać najwyższe wymagania, ale również drugiego celu, jakim jest kulturotwórcza rola Wydziału Sztuki. Powinniśmy być zauważalni w mieście jako wizytówka środowiska uczelnianego, ale także w szerszej przestrzeni jako twórcy kultury.

Dlatego powołałeś kilka lat temu Konferencję Dziekanów Wydziałów Artystycznych podlegających pod Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego?

Ze specyfiką naszej działalności wiążą się problemy, które mają wszystkie wydziały artystyczne umiejscowione w strukturach uniwersyteckich. Wszyscy podlegamy pod algorytm funkcjonujący w szkolnictwie wyższym, ale przy tym musimy spełniać wymagania merytoryczne typowe dla szkół artystycznych. Musimy mieć świadomość tej współzależności, w przeciwnym razie zawsze będziemy traktowani jako jednostka przynosząca straty. Spotykamy się dwa razy w roku na różnych uczelniach w Polsce i działania, które podejmujemy, nabierają już zupełnie konkretnych kształtów. Nie jest to łatwe, pracujemy nad uświadomieniem roli tych wydziałów—dopiero z czasem pojawia się zrozumienie, że funkcjonują one w miastach, gdzie nie ma wyższych szkół artystycznych. Naszą rolą nie jest odbieranie czegokolwiek Akademiom Muzycznym czy Akademiom Sztuk Pięknych, ale uzupełnienie ich działań na przykład w obszarze kształtowania potrzeb estetycznych społeczeństwa.

A przy tym kultura może uzupełnić kształcenie na innych kierunkach.

Oczywiście! I jest to niezmiernie ważne, dlatego że jeżeli jesteśmy zauważalni jako Wydział Sztuki, to jesteśmy zauważalni przede wszystkim jako wydział Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, co zawsze podkreślam. I naszym



zadaniem jest właśnie pokazywać się od tej strony.

Za tym idą konkretne osiągnięcia, także na forum ogólnopolskim.

Jeżeli chodzi o dorobek, to cieszę się, że moja działalność artystyczna jest postrzegana również jako dorobek naukowy. Wypromowałem 4 doktoraty, przygotowałem recenzje doktoratów, habilitacji i na profesurę w 26 zamkniętych przewodach, wiele z nich przydziela Centralna Komisja do Spraw Stopni i Tytułów. Jeżeli do tego dodamy udział w szeregu gremiów oceniających polskie i zagraniczne festiwale oraz konkursy chóralne, rad programowych i naukowych, to tworzy się szerokie spektrum możliwych działań.

A do tego trzeba dodać projekty związane z trwającym jeszcze Rokiem Nowowiejskiego.

Na podsumowania jest jeszcze zbyt wcześnie. Na pewno udało się osiągnąć sporo, ale jestem przekonany, że jeszcze w roku 2017 nastąpią dalsze działania związane z samym kompozytorem, z tym, co stworzył, ale i z jego postacią. Rozwój zainteresowania Nowowiejskim oraz wzmocnienie środowiska skupionego wokół jego twórczości na pewno będą procentowały, na przykład nowymi wykonaniami i nagraniami jego utworów.

Twoja dyskografia obejmuje jedną płytę winylową i 12 płyt kompaktowych, a wśród nich także utwory Nowowiejskiego.

Do płyt podchodzę z wielkim sentymentem. To ogromna odpowiedzialność, bo raz zarejestrowane mogą być oceniane w dowolnym czasie. Ale na przykład kolędy, które znalazły się na jednej z pierwszych moich płyt, mimo upływu lat nie straciły swego czaru. Może dlatego, że były nagrywane w najbardziej tradycyjny sposób, to znaczy nagranie polegało na rejestracji wykonania od początku do końca. Są wśród tych płyt prawykonania, jak *Litania Gietrzwałdzka* Józefa Świdra, która została napisana na 130. rocznicę objawień w Gietrzwałdzie albo *Czasem* Andrzeja Borzyma. Wiele prawykonanń to były nagrania utworów napisanych specjalnie dla mnie, na przykład przez Gianmartino Durighello (Włochy), Pieta Swertsas (Belgia), Andrzeja Koszewskiego, Mariana Sawę, Andrzeja Borzyma. Szczególne miejsce w moim dorobku zajmują dwie płyty wydane przez DUX z *Pieśniami morskimi* Feliksa Nowowiejskiego — w sumie 34 pieśni, niektóre niezwykle trudne.

Myślę, że jeszcze nie raz do tych płyt będziemy wracać.

Również mam taką nadzieję.

Dziękuję za rozmowę.

DMITRIJ GRIGORIEW przełożył Krzysztof D. Szatrawski

DZIGA WIERTOW

Żadnych aktorów:
tylko prawdziwy los,
taśma nie może bez światła,
trzeпоce na wietrze słonecznym,
za deszczem zadrapań znika
nowy doskonały człowiek.

Taśma spala się jak proch,
(innej wówczas po prostu nie było —
jakie tam cyfry —
okrągłe pudełka, podobne do min,
świece dymne w szkole podstawowej...) —
Co z niej zostaje? —
dym i odrobina popiołu...

Ale dopóki bączek się kręci,
nowy Frankenstein
pochyła się nad warsztatem,
przyklejając doskonałe ręce
do doskonałego ciała.
Cudu nie będzie: James Bond
świetnie strzela.

DMITRIJ ANATOLIEWICZ GRIGORIEW, ur. 1960 r. w Leningradzie, poeta i prozaik. Autor książek poetyckich i opowiadań, publikowany wielokrotnie w najważniejszych rosyjskich czasopismach literackich i antologiach. Jego ostatnie książki to *Drugi fotograf* i *Płasi psalterz*. Powyższe wiersze pochodzą z cyklu *Radiostacja Siódma Brama* ze zbioru *Płasi psalterz*. Przekładany i wydawany w większości krajów europejskich. Mieszka w Sankt Petersburgu.

ROBERT FLAHERTY

Taśma nie działa bez światła,
ale słońce już na horyzoncie zdarzeń,
i śnieg tak obfity, że na zewnątrz wyjść się nie da —
siedź, wywołuj tę ciemność,
w której projektor jak konik polny terkocze,
a śnieg czasu na ekranie
zasypuje tropy,

w której ciemne bestie
idą po twoich śladach
i psy znaczą samotne krzaki:
— Nie jedź żółtego śniegu Nanuk,
zachowaj go dla potworów
co już całkiem blisko
i rzuć w ich szklane oczy!

Projektor terkocze
obracając szpule,
nawijając kurzą ślepotę
na ślepotę serca,
noc potrwa długo, ale
życie nie kończy się śmiercią
w tym dziwnym kinie.

GEORGES MÉLIÈS

— Zbuduj gołębnik i sprawa z głowy,
gołębia poczta jest pewniejsza niż wszelkie nadzieje,
kiedy ich nie ma, nastaje wolność —
tak mi kiedyś powiedział
przemysłnik złudzeń o oczach dziecka,
handlujący zabawkami w sklepiku na Montparnasse.

Gołębie, które wyleciały z jego głowy,
teraz dumnie przechadzają się po moim dachu
i z zewnątrz niczym się nie różnią od pospolitych...
Ale tylko one znajdują drogę do domu
nawet przez tysiące kilometrów.

PISZĘ:

Ukradłem tę drogę,
ukradłem blask w oknie domu na brzegu,
na samym skraju wsi,
szczękanie psów, granatowe rozbłyski nocy,

ukradłem to miasto
z jego uliczkami i śmietnikami,
gwarem na tłocznym bazarze, gdzie czaczę
proponuje na spróbowanie gruby sprzedawca,
a garść jagód, wzięta na szczęście,
okazuje się najsmaczniejsza na świecie.

Co jutro ukraść — jeszcze nie wiem,
ale widziałem różne znaki:
„zakaz zatrzymywania” albo
przekreślonego człowieka w czerwonym kółku
na skraju autostrady —
nie zważając na zakazy, idzie
tam, gdzie nikt go nie potrzebuje.

* * *

W telewizorze w mojej kuchni
uczciwy policjant
dziarsko rozprawia się z mafią,
potyskujący ludzie
polecają tanie smartfony
od Megafon i MTS:
wybieraj który chcesz,
a co pół godziny czerwony jaguar
leci, rozganiając chmury
nad wilgotną trasą.
Rosja rządzi na wszystkich frontach,
wszędzie kryzys, przestępstwa, katastrofy,
lepsze walczy z gorszym,
dobro ze złem,
ale świat zaczyna się od mojej kuchni,
gdzie w lodówce — minus, a nad płytą ciepło,
jaka by nie była za oknem pogoda,
i wystarczy przycisnąć na pulpicie
czerwony guzik,
by znikło to dobro i zło.

* * *

W radio znowu prognoza pogody na Marsie,
Patti Smith wiezie kamienie więzienia St. Laurent na mogiłę Geneta,
wiatr targa ciemne włosy, żyje życiem pospolitych owadów...
Cokolwiek zaśpiewasz w tej dziwnej pustyni — mówi jej Genet —
w niczym mi nie pomożesz.

Po co przekłady na sto języków, jeśli mówię w jednym,
przełoż lepiej ten haszysz albo rosyjską wódkę,
nie słyszę pieśni, mój język przysechł do rozżarzonego nieba Tangeru,
ratuje tylko wiatr, na Marsie jest wiatr i deszcz, jest także Elizjum, Patti
i ja sam — tylko kilka gramów tego zadziwiającego pyłu
— tylko kto mi za to zapłaci?

* * *

Zdjęcia miejskich pejzaży,
stare portrety:
unibrom-bromportret-fotobrom,
papier sptonie,
srebro przetrwa,
nie uleci wraz z dymem,
wszyscy na ziemi staniemy się srebrem.

W srebrnym popiele
każdy odnajdzie swe ukryte imię,
widoczne tylko pod czerwoną żarówką
w półmroku, gdzie rodzice byli jeszcze młodzi
i znajdowali się po omacku,
a na papierze zaraz się rysowały
jakieś gałęzie, domy, twarze,
z początku mętnie, później coraz dokładniej,
zamazana była tylko
postać człowieka biegnącego za tramwajem:
wciąż biegnie,
biegnie i nie potrafi się zatrzymać.

* * *

Życie domniemane,
uczynki w polietylenowej torbie z supermarketu,
kod kreskowy na każdym:
to — pierwszy papieros,
to — miłosne wyznanie,
to — taniec na balu maturalnym...
Sklejkowy policjant na poboczu przy radiowozie ze sklejk
oczekuje zbliżającej się wieczności,

ale kiedy podniesie swą pęgowaną płaską pałkę,
my będziemy już na horyzoncie zdarzeń,
za sklejkowymi plecami w ciemne świerkowe sęczki
w światłach auta z naprzeciwka.

PIOTR SIWECKI

Skurcz

Przykucnął na podłodze w kuchni – na wykładzinie o wyblakłej fakturze sosnowych desek. Oparł się plecami o drzwiczki szafki – drzwiczki z polakierowanej sklejki o widocznej fakturze sosnowych desek.

Rysy na drzwiczkach...

Rysy w miejscach, gdzie o drzwiczki otarł się wózek inwalidzki matki...

Miejscami drewno tak szorstkie jak nieheblowana deska...

— Wołałabym, żebyś o nas nie mówił nikomu... nie tak jak twój ojciec... wszystkim opowiadał o nas... o mnie... narzekał... oczerniał... naśmiewał się... porozmawiaj z nim... — powiedziała matka, próbując jednocześnie podsunąć się nieco wyżej w inwalidzkim wózku przerobionym specjalnie dla niej, bo dobry nie był ani ten dla dzieci, ani ten dla dorosłych.

Wszędzie ciasno...

Nic tylko położyć się i umierać?...

Kiedy jeszcze żył pies – ryżawy kundelek niewiele większy od pekińczyka – ojciec miał jakieś zajęcie, chociaż wychodził chyba nie z psem, tylko żeby pogadać z ludźmi... i... gadał... i co?... choroba... gubił się... wracał długo... wracał bez psa... wracał po psa... czasami tak się zagadał, że nie wiedział gdzie jest, jak wrócić, z kim rozmawia... taki los?... to trzeba czuć?... tego się nie da tylko przemyśleć?... to oczywiste?... gada... i co z tego... tylu dzieciakom pomógł... tyle zrobił po prostu dobrego... a to rozszczep, a to wyrostek... ciągle ich spotykam... tych, którym pomógł, którym był przeznaczony jako część ich życia... spotykam ich w różnych sytuacjach... i czasami nie wiem, czy trzeba powiedzieć coś innego ponad to, że się cieszę, że on się ucieszy, że wszystko dobrze już u nich, że przekażę, że już teraz u nich dobrze, że pozdrawiają... pytają o niego, o ciebie też pytają, mam, bo wiedzą, że nie macie lekko, że choroby wasze i... czuję, że chcą zapytać, dlaczego na was, tak dobrych dla innych, spadły te choroby... czasami czuję, że nie wiedzą, co powiedzieć i mówią, że jestem podobny do ojca... i pytają, czy też jestem lekarzem... a ja mówię, że nie... i oni wtedy mówią, że ojciec to dobry człowiek... więc dlaczego nie pozwolić mu gadać, narzekać?... ludzkie przygody, ludzkie noś... mam...

Zapałił papierosa.

Spojrzał na reklamówkę zwisającą z oparcia jej wózka.

W tej reklamówce wszystko.

Szmelc, mydło i powidło.

Druty, kłębek wełny – żeby ćwiczyć palce...

Szmatka ze starej skarpety... do kurzu...

Chusteczki do nosa i łez... zwykłe, męskie, z materiału i jednorazówki – zużyte i pogniecione obok świeżych, ale wyjętych z opakowania...

Okulary – szkła brudne, aż się lepią... czasami myje jej te okulary, chociaż

wie, że ona za chwilę znów zostawi na szklach ślady palców... zakładanie okularów to też raczej ćwiczenie dla rąk, które coraz trudniej podnieść, którymi coraz trudniej dać sobie radę z tym wszystkim...

Biała reklamówka...

Biała, poplamiona resztkami jedzenia reklamówka...

Pomyślał, że to pewnie niestosowne, ale chciałby zająć się trochę sobą... długi prysznic... obciąć paznokcie nie w pośpiechu... pogapić się w telewizor, nie myśleć, że trzeba iść i...

— Mam... ty też mówisz... też o nas gadasz z innymi... przychodzi do ciebie... wiem... martwisz się... i dlatego... — powiedział, wydychając dym ku sufitowi.

— ...Zrób mi kanapkę... jeśli możesz... i porozmawiaj z ojcem... — powiedziała, spuszczając głowę na piersi, bo mówienie sprawia jej coraz większy problem... spuściła głowę, jakby miała wyrzuty sumienia, że go prosi, jakby spodziewała się, że odpowie jej, żeby sobie sama zrobiła kanapkę, bo on jest zmęczony i w ogóle to przyszedł tylko po to, żeby mu współczuć, że tak późno musi wracać z pracy, odwiedzać ją, a potem dopiero wracać do domu...

— Mogę, mogę... — odpowiedział nieco zirytowany, bo jest wieczór, a on dopiero z pracy i już chciałby właściwie wyjść, żeby posiedzieć w ciemnym pokoju przy komputerze, przy biurku, na którym książki w nieładzie, jakby nie było ważne, co czyta – ważne, żeby tak leżały: jedna na drugiej, otwarte, poprzdzielane luźnymi kartkami papieru różnego formatu – kartkami zapisanymi jego drobnym pismem: notatki, którymi smaga swoje ciało, w którym słowo...

— Przepraszam... — powiedziała z głową wciąż opuszczoną na piersi.

— Nie ma za co... to ja przepraszam... tylko wiesz... za każdym razem coś mam robić... jestem zmęczony... tak po prostu... wiem, że to nic przy tym, co ty masz... ale jednak... zresztą... przecież wiesz, że zrobię ci kanapki... ale... chciałbym sobie po prostu tu posiedzieć... wiesz... sam nie wiem... wszystko mi się miesza... — powiedział, odkładając papierosa do szklanej, płaskiej popielniczki.

Otworzył drzwi dopiero co kupionej, niewielkiej lodówki, która zastąpiła wysłużony Polar i stojącą na nim, bezużyteczną już, trzyszufladową zamrażarkę... teraz nie potrzeba już dużej lodówki... rodzice sami, zapasów nie trzeba robić, a i do tej łatwiej po prostu dostać się z wózka...

— Zrobię ci kanapkę, ale ojca nie będę na siłę budził... z czym chcesz...

— Z czymkolwiek...

— Znowu to samo... wiem, że ci wszystko jedno, ale może jednak... — powiedział, wpatrując się w zawartość lodówki — ...to z czym chcesz... — potwórzył, udając irytację, chociaż matka poczuła, że powiedział to nie kryjąc irytacji, bo przecież... ma do tego prawo, jest zmęczony po pracy i w ogóle go rozumie, bo przecież, choćby nie wiadomo co, to jest jej synem — ...kiełbasa, szynka... dżem... śliwkowy...

— Chciałabym jajecznicę... — powiedziała tak, jakby pomyślała: ...nie spiesz się... zostań...

— No nie... jest po dwudziestej... chciałbym iść do domu... położyć się...

odpocząć... jutro do pracy... — powiedział, zamykając lodówkę — ...poza tym nie ma jajek... z szynką może być?... — spytał, rozpakowując na blacie zawiniętą w folię, pokrojoną w plasterki szynkę... chciałby się uśmiechnąć... wie, że chciała zażartować... ale on czuje, że raczej chciała go sprawdzić...

— Cokolwiek... jestem głodna... — powiedziała, a on usłyszał: ...synku... nie spiesz się...

— Mój papieros... — powiedział, gasząc papierosa niebezpiecznie przechylającego się w stronę laminowanego blatu już prawie całkiem wytartego na środku od robienia na nim przez lata makaronu, pierogów, knedli, oprawiania schabu, krojenia kopytek...

To znaczy, że nie zawsze było jak teraz jest...

Włączyła radio.

Nie bez trudu włączyła radio.

Chciał uprzedzić jej ruch, ale pomyślał, że będzie zła, bo przecież musi sobie sama dawać radę i to nie z takimi drobiazgami, chociaż on widzi za każdym razem, że czas potrzebny jej na włączenie radia wystarczyłby mu na opielenie grządki z marchewką...

Radio...

Matka lubi słuchać Jedyńki.

Radio.

Czarne radio zasilane z płaskiej baterii przywiązanej do niego gumką od weków.

— A teraz... patrz, tato, mają takie... takie komputerki jak na Kosmosie 1999 albo lepsze... — pomyślał i zabrał się za przygotowywanie kanapek.

— Z masłem?

— Bez...

— Były dziewczyny z Medyka... stażystki... odkurzały... mają przyjść myć okna... prać zasłony... dzwoniła pani Rita... masz pozdrowienia... mówiła, że były u niej dziś Nena i Słońce...

— Dzięki... dobrze, że były dziewczyny... ja nie mam kiedy... zresztą... lepiej jak będą do ciebie przychodzić... tak jest lepiej... masz z kim pogadać... Teddy mówił, że do ciebie zajrzy i do ojca... na chwilę... zmienimy opatrunki?...

— Wszyscy tylko na chwilę... jeśli możesz zmienić... zdejmij te szmaty... śmierdzi jak się wchodzi, prawda?... jeśli masz chwilę, to zdejmij te szmaty...

— Nie jest źle... nie przejmuj się... — powiedział, zamykając notes z numerami i odsuwając telefon, żeby na blacie położyć trzy kanapki tak blisko niej, żeby mogła sięgnąć i jeść, kiedy on będzie zmieniał opatrunki na łydkach.

Z pudełka, stojącego na szafce przy kuchence gazowej, wyjął dwie jednorazowe rękawiczki. Poczut suchy zapach talku. Założył rękawiczki.

Przykucnął.

Powoli zaczął rozwiązywać niebieskie sznurki pod kolanami podtrzymujące chirurgiczne gaziki z białej bawełny – nasiąknięte płynem limfatycznym wyciekającym spod skóry na podudziach są ciężkie i pachną jak wysuszone w słońcu porosty...

— U... — powiedział, kiedy już odwinął gazę.

— Co... — spytała matka, próbując pochylić się tak, żeby zobaczyć to U...

— Nic... chyba nie jest lepiej po tych naświetlaniach lampą...

Matka pochyliła się, próbując wciąż zobaczyć to U..., ocenić, jak jest naprawdę, bo przecież widziała w życiu tyle ran...

— Na pischcelach nie jest tak źle... — powiedział, klękając na prawym kolanie — ...trochę odsunę stopy do przodu i zobaczę, jak z tydkami... — dodał, delikatnie chwytając za obrzmiałą kostkę lewej nogi.

— E...

— Co... — spytała matka przez zęby, bo jej plecy wyprostował skurcz prawej nogi... noga podniosła się powoli do góry, a matka opadła na oparcie wózka i odchyliła głowę... wszystko jak w zwolnionym tempie...

— No chyba jakby trochę lepiej... jakby się goiło... w każdym razie nie szcerniało... a ta lekka, biaława obwódka...

— Dobra... zobaczmy... zakładaj opatrunki... przemyj solą fizjologiczną...

jest u mnie w pokoju... chyba...

Skurcz powoli odpuszczał.

Poczut, że wstaje i, nie zdejmując rękawiczek, bez słowa, idzie szybkim krokiem do pokoju, w którym matka śpi, półleżąc na łóżku.

Nagle poczuł, że nie czuje nic...

Nagle poczuł, że to dobrze, że ma odwagę pomyśleć, że to wszystko to tylko sprawy do załatwienia...

— Jest... — krzyknął już z pokoju — wezmę jeszcze gaziki...

Wrócił szybko.

Tym razem nie zatrzymał się przed lustrem w pokoju brata.

Zazwyczaj zatrzymuje się i kontroluje łupież.

Ale nie tym razem.

Objął wszystko jednym spojrzeniem – spojrzeniem człowieka, któremu się spieszy.

— Dobra... jedziemy dalej... — powiedział, kucając przed matką.

Nasączył niewielki gazik i delikatnie zaczął przemywać rany na łydkach – trochę na ślepo, bo nie ma jak dostać się między łydki a stelaż wózka, a matka nie da się położyć na brzuchu... to by zajęło im dużo czasu... jest ciężka... on jest zmęczony, a poza tym nigdy nie był specjalnie silny...

Potem piszczele.

Tu już przycisnął gazik nieco mocniej.

Zobaczył, że tam, gdzie przed chwilą trzymał kciuk, teraz jest wgłębienie, które odkształca się bardzo powoli – jak wgłębienia w wykładzinie po stołku, na którym długo się siedziało przy biurku.

— Dobra... zawijamy... i do pokoju... wolę zmieniać opatrunki w pokoju...

jutro tam, a nie w kuchni...

— A powiedz... jak mały?... — spytała, a głos jej był tak ciepły, jak ciepły może być głos człowieka.

— Dobrze... wiesz... już kopie... jak zdążę, to mu dzisiaj poczytam... przez skórę... i może obejrzymy razem jakiś filmik... chyba lubi filmy dokumentalne... chyba przy nich zasypia...

BOŻENA BOBA-DYGA

Z cyklu „Tato — takie miejsce”

LEGITYMACYJNA FOTOGRAFIA

Zaplałał mi wtedy warkocz
Staranny prosty w osi pleców (choć ze skoliotycznym kręgosłupem)
Palce przypominały konary drzewa
Skóra pobierała za to w wątrobowe cętki
Starannie opitowane paznokcie
opuściła gładkość — całe w sztruksowe paski
Starannie rozczesywał mi włosy
(grzebień czuchał)
Rozdziałał je na trzy części
Cierpliwie czekałam, nieco skamieniała
Ubrana w ulubiony granatowy sweterek
Pewnie z przeceny ze skazą albo spod lady
Kogo bałam się bardziej taty czy fotografa?

PRYMAT

To słowo klucz
Otwiera świat Taty
Świat w którym są wielkie marzenia
jak wielki jest Prymat ducha
Prymat prawdy
Prymat wolności
Na tym zniewolonym zadupiu

DIALEKTYKA, 17.06.2016, 9.59, G9

Wpadł mi z ręki nóż
Kiedy szybował ostrzem w stronę tętnic krzyczałam
nieprzerwanie donośnie i długo jak lot
mieniającej się w oczach klingi
Przez moment wypełnił mnie strach i widok krwi
Myśli o śmierci szpitalu tym że nie ma koło mnie
Mojego Ukochanego
A w pokoju obok śpi gość któremu nie chcę uprzykrzyć życia
Ostateczność i Codziennność
Kruchość i Zmienność
Jak to się ma do poetyki dzieła muzycznego
którą opisał Igor Strawiński i którą
studiowałam dziś rano?
Poiein z grecka — oznacza to make — machen — hacer — fare — facere — robić...
To co uprawiam
To co uprawiamy — poeci
To liryka
Osuszona z dźwięku, bez liry
(ta z lirą stała się piosenką)
Poeci — to Robotnicy

Nóż mnie ominął, Wpadł do zlewu
Widać umrzeć mam nie dziś

Moja babcia go nie lubiła
Podobno mówiła że zakłada królikarnię
skoro chciał mieć 4 dzieci
(Mnie nie było w planie)
A może bardziej dlatego że był prawie w jej wieku?
Że był zaprzeczeniem babci mieszczańskich ideałów
Zamożności Wygodnego życia?
Jakaś walka z komuną? Po co? Wystarczy się nie mieszać
W jej rozumieniu zmarnował córce życie
Oboje odeszli cierpiąc niespełnieni
Oboje nie dożyli końca

Dziadek Mikołaj pierwszy we wsi nosił krawat
Do fotografa jeździł do Wiednia
Palił fajkę wydając polecenia parobkom
Dziś nikt dokładnie nie wie gdzie jest jego grób...

Pies nazywał się Drajfus
ale miał (chyba) 4 łapy?
Ratlerek
Podobno dożarty

Umiera się
i zostaje po nas pół minuty ciszy

W SAMYM ŚRODKU — GALERIA VARIARTA:

Weronika TadaJ-Królikiewicz

Weronika TadaJ-Królikiewicz — ur. 1980 r. Absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Olsztynie (dyplom 2000 r., specjalizacja: ceramika artystyczna). W latach 2000-2005 studentka Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu — kierunek: grafika. W 2005 r. otrzymała dyplom z wyróżnieniem ze specjalności: projektowanie graficzne oraz ze specjalności: rysunek; aneksy do dyplomu z malarstwa oraz fotografii. W latach 2005-2009 studentka czteroletnich dziennych studiów doktoranckich w Dziedzinie Sztuk Plastycznych na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu — kierunek: grafika; specjalizacja: rysunek; promotor — art. graf. Jędrzej Gołaś prof. UMK. W 2010 r. uzyskała stopień doktora sztuki. Zajmuje się rysunkiem, malarstwem i fotografią. Brała udział w 40 wystawach zbiorowych, m.in.: Pruzzeland-Puzzeland, Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, Olsztyn 2015; Moc Sztuki 3, Galeria „Zamek” w Reszlu, Reszel 2014; VIII Triennale Polskiego Rysunku Współczesnego, Muzeum Kresów w Lubaczowie, Lubaczów 2014; Olsztyńskie Biennale Plastyki o Medal Prezydenta, BWA Galeria Sztuki Współczesnej w Olsztynie, Olsztyn 2011 (trzykrotnie I nagroda w V, VI i VII edycji); konkurs plastyczny „Salon Wielkopolski 2011”, Czarnków 2011 (Grand Prix). Prezentowała prace na 13 wystawach indywidualnych, m.in. BWA, Olsztyn 2016; Galeria MOSTRA, Osada Zamkowa, Pasym 2015; Galeria Forum, UMK, Toruń 2010; Galeria Marszałkowska, Olsztyn 2010. W 2015 r. otrzymała Wyróżnienie Jurandy za działalność rysunkową, a w 2013 r. Stypendium Artystyczne Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego. Posiada prace rysunkowe w zbiorach Muzeum Kresów w Lubaczowie oraz w zbiorach Zachęty Warmińsko-Mazurskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych. Od 2015 r. współpracuje z Galerią MOSTRA w Warszawie.

BOŻENA BOBA-DYGA (ur. 1967 r.) absolwentka krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Poetka, pieśniarka, kompozytorka, artysta plastyk, konserwator dzieł sztuki i projektant. Mieszka i tworzy w Krakowie. W Polsce wydała trzy tomiki wierszy: *Skrytka Sylvii von Sielberstein* (2003), *Kropla* (2007) oraz *Koniec sezonu* (2015). Poza granicami kraju ukazały się dwa wybory jej utworów w wersji polsko-ukraińskiej: *Pisane deszczem* (2008), wydane we Lwowie, *Zapach kasztanów* (2013) w Winnicy, a także *Spokój Śniegu* (2009), wydany w Londynie w tłumaczeniach na język angielski, niemiecki i francuski. W 2016 r. otrzymała odznakę honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej.wyborów wydanych za granicą, tłumaczona na 6 języków. W 2016 roku otrzymała odznakę honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej.

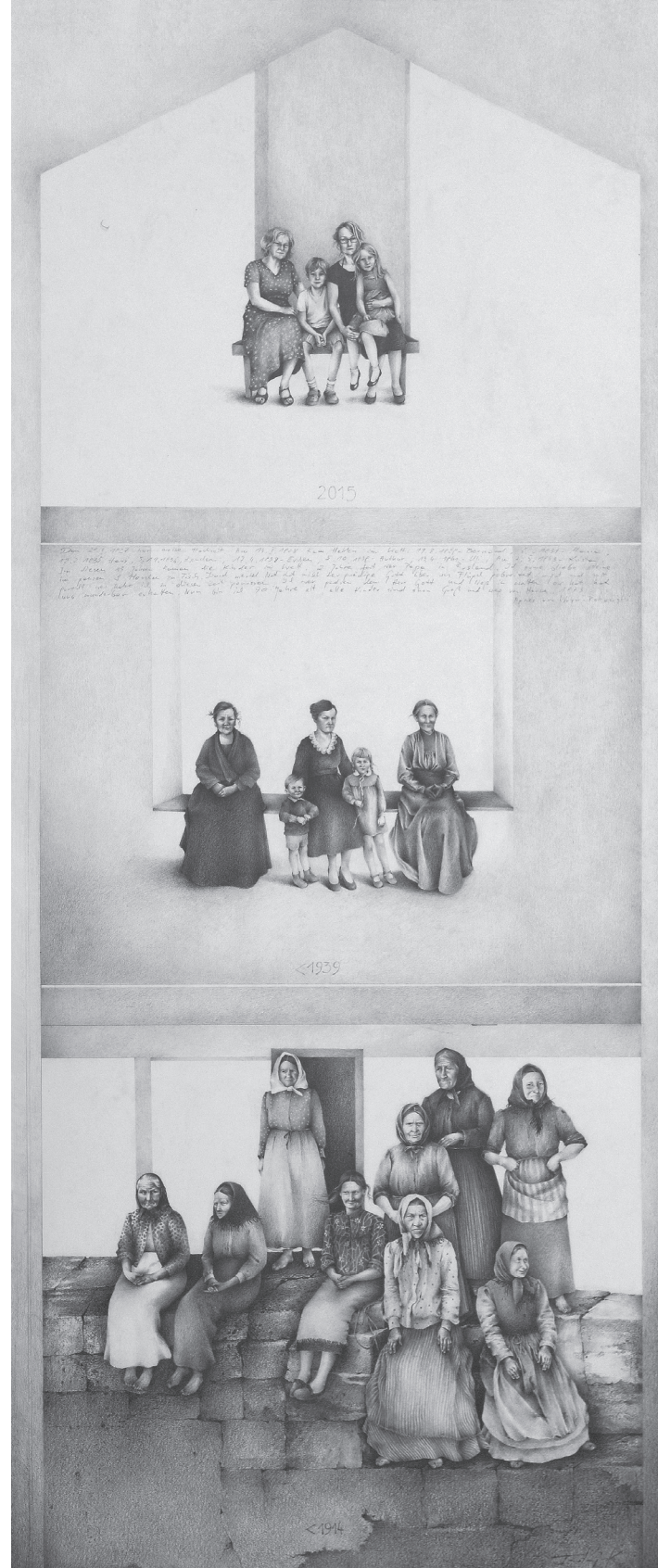
WERONIKA TADAJ-KRÓLIKIEWICZ



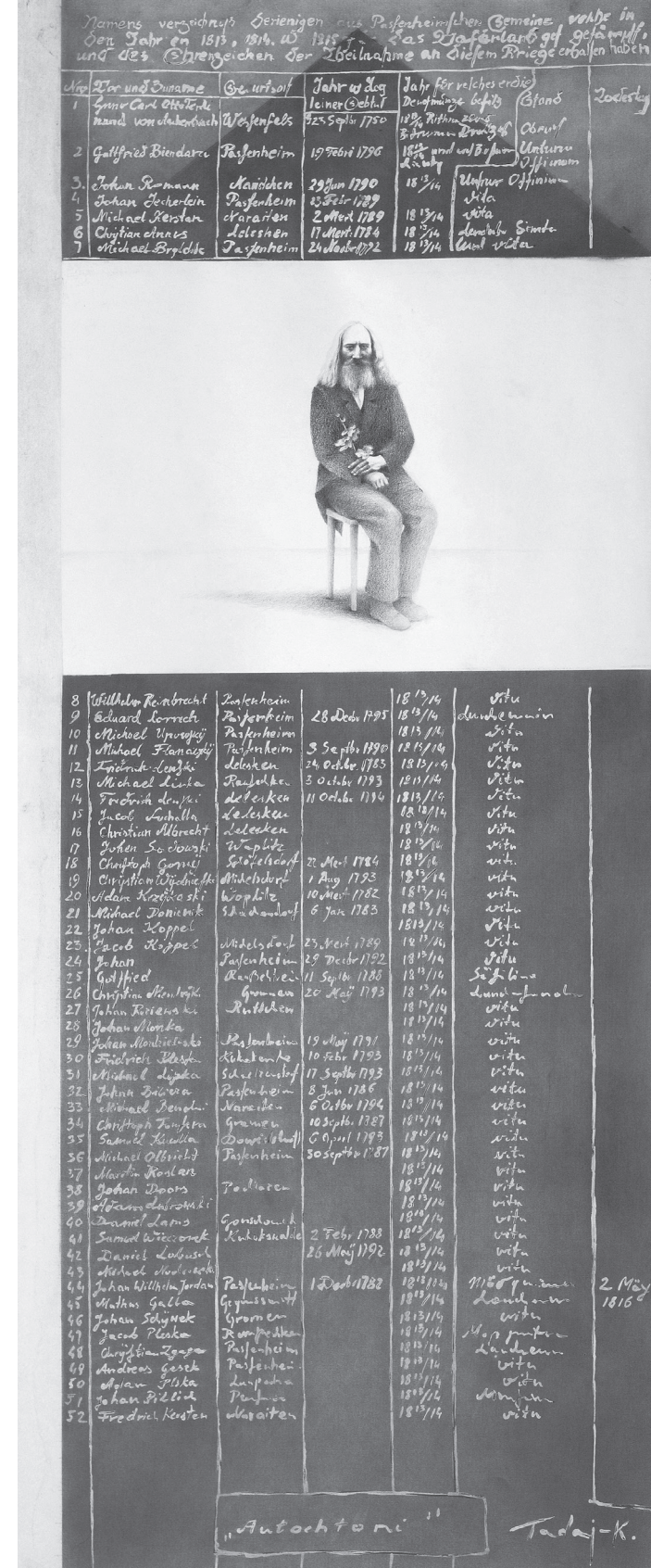
Rys. Weronika Tadaaj-Królikiewicz, fot. z archiwum BWA w Olsztynie

Pochodzę z Pasymia (dawne Passenheim), jestem autochtonem. Moi Rodzice urodzili się na Mazurach w czasie II wojny światowej. W naszej rodzinie przenikają się tradycje polskie, niemieckie i mazurskie. Również język codzienny, związany przede wszystkim z kuchnią, obejściem, jest mieszanką języka polskiego z niemieckim... Moi dziadkowie ze strony ojca urodzili się na Mazurach, babcia ze strony mamy w Gietrzwałdzie, dziadek pochodzi ze starego kaszubskiego rodu Rekowskich (z tego samego co Władysława Knosza, nauczycielka i przedwojenna polonijna działaczka).

„Dom” to cykl prac rysunkowych, które są swego rodzaju wędrówką do przeszłości. Do przeszłości mojej rodziny, ale i do historii regionu Warmii i Mazur, dawnych Prus Wschodnich (Ostpreußen). Inspiracji do prac szukam głównie w archiwalnych zdjęciach z pierwszej połowy XX wieku pochodzących przede wszystkim z Pasymia i okolic. Są to głównie zdjęcia z rodzinnego albumu, ale również zdjęcia zarchiwizowane przez pasymskiego pastora czy okolicznych mieszkańców. Interesują mnie głównie ludzie widniejący na zdjęciach, a zamieszkujący niegdyś te tereny. To oni tłumnie wypełniają moje „Domy” niczym duchy przeszłości... W swych rysunkach nawiązuję do wielokulturowości, tolerancji oraz nazwy regionu.



Rys. Weronika Tadaaj-Królikiewicz, fot. z archiwum BWA w Olsztynie



Rys. Weronika Tadaaj-Królikiewicz, fot. z archiwum BWA w Olsztynie

JADWIGA BOLIŃSKA, red. IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Ale i tak człowiek był szczęśliwy...

Był rok 1980, kiedy otrzymałam klucze do swojego mieszkania, ale to wcale nie początek tej historii. W 1969 r. w Spółdzielni podpisałam dokumenty członkowskie. Zarejestrowana zostałam jako nauczycielka i dlatego mogłam liczyć na dodatkowy trzeci pokój w planowanej inwestycji. Po ośmiu latach czekania w końcu zadzwonił telefon: otrzymała Pani mieszkanie na ul. Narutowicza. Ale tam mi się nie podobało, pokoje to były malutkie klitki, a okolica wydawała się nieciekawa. Jeszcze nie było parku Kusocińskiego, powstał dopiero później, no i blisko był Komitet Wojewódzki, jakoś to towarzystwo mi nie odpowiadało. Nie zdawałam sobie sprawy, że odrzucenie tej propozycji będzie mnie kosztowało jeszcze trzy lata czekania na kolejną ofertę.

Gdy już wiedziałam, że mam otrzymać mieszkanie, kolega pracujący w urzędzie zadzwonił do mnie w prima aprilis i nabrał mnie, że mam dostać mieszkanie na Nagórkach. Ja się przeraziłam, bo wtedy Nagórki to był jeden blok, a wkoło pole. Bardzo się ze znajomym kłóciłam, że ja nie chcę tam mieszkać, że to daleko od miasta. Miejsce, gdzie nie dojeżdżały jeszcze autobusy, poza tym dzieci miałby daleko do szkoły, tam jeszcze nic nie było. Kolega w końcu rzucił słuchawką, bo nie mógł wytrzymać ze śmiechu i przyszedł do mnie, przeprasząc, że żartował.

Lokalizacja na al. Warszawskiej, którą zaproponowała mi Spółdzielnia wiosną 1980 r., bardzo mi się podobała — blisko centrum dobrze skomunikowana, szkoła dla córek w odległości kilku minut na piechotę. Wydawało mi się też, że wieżowce to taki wyższy standard mieszkania. Poza tym prawie w centrum — osiedle Podgórze. Był to pierwszy wieżowiec oddany w tej dzielnicy. Wokół jeszcze trwała budowa, ale wszędzie było blisko. Pamiętam, że kiedy dostałam tylko informację, że będę mieszkać na Warszawskiej, od razu chciałam wejść do tego bloku. Jednak etap budowy był jeszcze zbyt wczesny na jakiegokolwiek odwiedzin. Z ciekawości udało mi się jednak jakoś dostać do czteropiętrowca w pobliżu, żeby zobaczyć, jak może wyglądać moje mieszkania, bo miały mieć taki sam rozkład. Później, kiedy już udało mi się zajrzeć do naszego bloku, byłam przerażona, bo nie istniały jeszcze ściany działowe i była jedna przestrzeń od krańca do krańca budynku — ciekawość czasami nie poptaca. Blok budowano z tzw. wielkiej płyty. Płyty do wykonania naszych domów były produkowane pod Morągiem. Bardzo szybko stawiano te bloki, ustawiano płytą do płyty, tak to przynajmniej wyglądało. Potem okazało się, że płyta do płyty, to ściany nierówne. Różnice do 10 cm między podłogą a sufitem, krzywe ramy okienne.

Okna były tak zrobione, że jak kiedyś wyjechałyśmy na parę dni, po powrocie okazało się, że wichura, która przeszła, pootwierala wszystkie z jednej strony domu. Trzeba je było zabić gwoździami, żeby się to więcej nie zdarzało. Winda w wieżowcu była, nawet spora, normalnie wszyscy wszystko nią wwozili, teraz windy zostały zmienione, pomniejszone. Współczuję ludziom, którzy mieszkają na 11. piętrze i muszą meble tachać. Kiedyś co prawda często wyłączali prąd i windy się zacięły, ale wtedy zasilanie awaryjne włączało się, żeby windy wjechały czy zjechały na pełne piętro. Trzecie piętro w jedenastopiętrowym wieżowcu to bardzo dobra lokalizacja, jak trzeba to winda jest, a nawet jak się zatnie, popsuje to można spokojnie wejść. Jako że nasz dom był pierwszy, to i windy były pierwsze, dlatego może nie najlepiej działały. Ale i tak człowiek był szczęśliwy, że dostał mieszkanie.

Mieszkania były częściowo wyposażone m.in. w tzw. białą armaturę w toalecie i łazience, w kuchni w kuchenkę gazową i zlew. Na podłogach w pokojach wyłożono sztywne, mocne wykładziny, które przykrywały wszelkie nierówności. Z czasem w użytkowaniu te nierówności jednak wychodziły. Ściany pomalowane były na biało, kuchnia i łazienka dodatkowo miały lamperie wykonane farbą olejną w kolorze „beżowym”. Nie wiedzieliśmy, gdzie idą kable w ścianach. Owszem, były gniazdka i kontakty, ale jak ktoś chciał sobie coś zmienić, to nie wiedział, jak ma poprowadzić przewody, ciężko było dostać dokumentację. Wszyscy byliśmy bardzo zadowoleni, że mieliśmy mieszkania, tylko co dalej.

W sklepach nic nie było. Żeby wyposażić mieszkanie, wszystko zdobywaliśmy. Za własne pieniądze zdobywaliśmy. Ludzie informowali się nawzajem, gdzie coś rzucili. Leciąco się w kolejki, stało się w nich, zapisywało na listy społeczne i czy trzeba, czy nie trzeba, to się kupowało. Na przykład kupiłam jakieś zastony pluszowe, które do niczego nie pasowały, ale wiadomo było, że można je będzie zamienić. Zamieniłam i dostałam firanki, które ktoś inny kupił w nadmiarze. Kwitł handel wymienny. Straszne były te kolejki, w których trzeba było odstać swoje. Mebli właściwie w Olsztynie nie kupiłam żadnych. Wszystko okazjnie dostałam gdzieś poza miastem. Miałam taką pracę, że zdarzało mi się jeździć do różnych miejscowości w województwie. Oczywiście podbiegałam tam zawsze do sklepów meblowych i jak były stołki, to się je kupowało, jak były gdzieś szafy, to się je kupowało. Jak rzucili Alika, to wszyscy mieliśmy Aliki. Alik to taki komplet mebli młodzieżowych — szafka nawet z półkami na płyty gramofonowe, biurko, szafa i tapczanik. Zresztą stoi on do

tej pory (rozkompletowany, przerobiony) w jednym z pokoi. Oprócz tego były tzw. Koperniki, ale dostanie takiego segmentu do salonu graniczyło z cudem. Przypadkowo, będąc w Reszlu z koleżanką, trafiłam na komplet mebli, który był zupełnie inny, chyba nawet był produkowany tam na miejscu w dużej fabryce. Komplet w sklepie był tylko jeden. Kupiłam go i się podzieliłyśmy — ja wzięłam segmenty z okładziną w kolorze dębowym i zielonym, ona szafę. Segment miał piękną, nietypową „koronę”, którą z radości położyłam przy samochodzie i zapomniałam jej zabrać. Następnego dnia dzwoniło do mnie ze sklepu, żebym odebrała. Do tej pory zresztą mam ten segment. To był szczyt moich osiągnięć meblowych. Do trzeciego pokoju meble kupiłam w Morągu. To były meble, które były rozczłonkowane z wielkiej sypialni. Była wtedy moda na duże sypianie — wielkie łóża, szafy, toaletki. I ktoś wziął część, a mi dzięki temu udało się kupić dwie szafy i komodę z ośmioma szufladami, które chodziły, jak chciały, nie miały żadnych prowadnic. Ale i tak człowiek był szczęśliwy, że to miał.

Żeby zdobyć fachowca, stolarza czy glazurnika, to już trzeba było prawdziwego cudu — byli rozrywani, rozchwytywani i często niesolidni. Nie było też i glazury. Teraz to się idzie do sklepu i wybiera, co się chce: a to duże, a to małe kafelki, kolor, jaki się chce i fakturę. Kiedyś były tylko małe płytki o wymiarach 10 x 10 cm z okropnymi wzorami, ale człowiek i tak się cieszył, gdy mógł to dostać. Mnie się udało nabyć kafelki w kolorze jasnego brązu, na których były naciapane wzory à la ludowe. Brzydkie, ale tylko takie były w sprzedaży. I dostałam ich tyle, że starczyło tylko na toaletę. A jak cudem udało mi się załatwić jakiegoś fachowca, okazał się właśnie niesolidny. Przyszedł, rozłożył materiały, przyniósł starą wannę do rozrabiania cementu, rozmieszał go, położył jedną ścianę kafelek, wziął zaliczkę i więcej się nie pojawił. Z miesiąc jeszcze trzymałam tę wannę, nie było wtedy telefonów komórkowych, nie miałam jak się do niego dodzwonić, skontaktować. Po prostu po dwóch dniach pracy zginął. Po kolejnych dwóch latach udało mi się skończyć remont toalety. Zakup sprzętów wyglądał podobnie jak mebli. Koleżanka kupiła mi pralkę tylko dlatego, że była zima, olbrzymi mróz i nikt nie stał w nocy w kolejce. A rano przywieźli pralki i moja koleżanka mieszkająca na górze, nad sklepem, rano zeszła na dół i była pierwsza w kolejce. Tak zdobyła pralkę dla mnie. I była to bardzo dobra pralka, która służyła mi ponad dwadzieścia lat, nie tak, jak teraz, gdy razem z końcem gwarancji kończy się żywot sprzętu. Wracając do mieszkania, kuchnia ma 8 m kw. Żadne standardowe meble kuchenne tam



Fot. Iwona Bolińska-Walendzik

właściwie nie pasowały. Teraz przyjdą wykonawcy, wymierzą i każdy kawałek zagospodarują. W latach 80-tych ludzie kombinowali, przedstawiali, łączyli. Mnie udało się kupić kredens w stylu, jak to dziś się określa, rustykalnym. Długo nie miałam też stołu, bo żaden się nie mieścił. Nawet taki o wymiarach 80x60 cm zagracał całkowicie przestrzeń. Miałam za to dwa stołki barowe, na których siedząc, świetnie oglądało się świat z okna. Wtedy al. Warszawska była bardzo ruchliwą ulicą — wąską, jednopasmową. Jeździły po niej wszystkie samochody, które przetaczały się przez Olsztyn, bo nie było żadnych ulic odciążających ruch — ani ul. Obrońców Tobruku, ani Sikorskiego. Ale i tak człowiek był szczęśliwy, wyglądając przez własne okna.

Kiedy już dostałam mieszkanie i się do niego wprowadziłam razem z córkami, trzeba było zrobić parapetówkę. Trochę odleciała się w czasie i wypadła w stanie wojennym. Zeszliśmy się chyba w dwadzieścia osób z firmy i „nagle” okazało się, że jest godzina dwudziesta, czyli godzina policyjna i nikt nie może wrócić do domu. Bawiliśmy się więc aż do godziny szóstej rano, bo wtedy znowu można było wychodzić na ulice. To była prawdziwa parapetówka, bo w pokoju nie było niczego oprócz jednego małego tapczanika, parapetu i kartonów. Ludzie, którzy się wprowadzili do naszego wieżowca, to byli: inżynierowie, lekarze, policjanci, pracownicy teatru, instytucji kulturalnych. Było to towarzystwo wspierające się, nie było sprzeczek, awantur. W takich czasach ludzie musieli sobie pomagać. Sklepy nie były czynne w niedziele, nie było towarów, więc pożyczano się od siebie. Wszyscy mieliśmy dzieci w podobnym wieku. Biegały co prawda z kluczem na szyi, ale znały całą okolicę. Wiedziały też, gdzie co rzucili i często wspomagały rodziców w „zdobywaniu” np. połowy kostki masła. Większość dzieci chodziła do szkoły podstawowej nr 12 na ul. Jagiellończyka, znały się. Teraz jest duża rotacja w naszych blokach, a mieszkańcy w różnym wieku: starsi, dużo studentów, a dzieci jak na lekarstwo i te dzieci są biedne, bo nie mają się z kim bawić.

Nie było niczego, ale po pewnym czasie mieliśmy wszyscy i meble, i sprzęt, i byliśmy szczęśliwi we własnym M4 w wieżowcu.

ANITA ROMULEWICZ

Poeci warmińscy do zadań specjalnych

Raz na jakiś czas pojawiają się w bibliotekach młodzi czytelnicy z prośbą o pomoc w wyborze wiersza pisarza warmińskiego. Powód — ogłoszony w szkole regionalny konkurs recytatorski. Sugestia nauczycieli najczęściej ogranicza się do twórczości znanej i cenionej poetki z Brąswałdu — Marii Zientary-Malewskiej. Ale co zrobić z ambitnym uczniem, który pragnie wyróżnić się repertuarem, zaskoczyć członków komisji konkursowej i, z całym szacunkiem dla Warmiaczki z krwi i kości, zaprezentować poezję oryginalną. Nie chodzi przy tym o wartościowanie samej poezji, ale o tzw. efekt wow!, bo konkurs to konkurs i rządzi się swoimi prawami.

W szkolnych zawodach poetyckich zapewne zada szyku ten, kto opanuje niełatwą sztukę recytacji gwarą warmińską. Stosowne utwory wyszukać można w licznych antologiach i tomikach autorskich. Wśród *Wierszy warmińskich* Marii Zientary-Malewskiej, gdzie zebrano wiele przejmujących i nierzadko smutnych utworów o losach Warmiaków napisanych piękną polszczyzną, znalazły się *Przódki warmińskie*. Ich dynamika i lżejszy, bo nieco bajkowy klimat z pewnością dadzą recytującym pole do popisu. Zwłaszcza gdy trzeba jednocześnie dbać o właściwą wymowę typowych dla gwary warmińskiej zmiękczeń:

(...) Hej! Furkocą rażno kółka

Łustazione w jedan rząd!

Aż sia zietrz po jizbie kranci

I wymniata każdy ką.

— Szpulka pełna! Dajta jano

Motozidło! Trzeba zzić!

Nie łuprzandziesz putoraka,

Wstydz, sia, zgniła dziewko, wtydz! (...)

Edward Martuszewski, autor wyboru wierszy do antologii *W oczach poetów* w 1960 r. pisał, że: „Dziś w gwarze (warmińskiej) piszą przede wszystkim Maria Zientara-Malewska i Alojzy Śliwa (ten ostatni głównie listy Kuby spod Gietrzwałdu, prozą)”. Ale Alojzy Śliwa, prawdziwy Warmiak, tworzył też wiersze po polsku. Urodzony w Skajbotach koło Olsztyna jako młody chłopak

doświadczał prześladowań za używanie polszczyzny w niemieckiej szkole. Dlatego też stała mu się ona tak bliska w późniejszym czasie. Jednak trudno dzisiaj, kosmopolityczną młodzież, bez odpowiedniego wprowadzenia w kontekst historyczny, poruszyć nawet świetnie napisanym wierszem *Do braci Warmiaków*, w którym czytamy:

W Twojej chacie polska mowa,

A niemczyzny ani słowa.

(...)

Polskie książki, pisma czytaj,

A niemieckich się nie chwytaj

W twórczości Śliwy nie brakuje wierszy na wskroś warmińskich, a przy tym lżejszych i adekwatnych do możliwości percepcyjnych uczniów klas młodszych. *Kwitną konwalie* zabierają młodego deklamatora do wiosennego, warmińskiego lasu, gdzie „wszystko radością w nim żyje”, gdzie spotkać można wiewiórki, lisy i zające, a dzieciaki z pobliskiej wsi zanoszą do przydrożnej kapliczki majowe kwiaty.

Zresztą motyw krajobrazowy występuje także u innych warmińskich poetów, szczególnie tych aktywnych w okresie plebiscytów. Zachwyt nad lokalną przyrodą, wyrażający wówczas bliską więź z ojczyzną, dzisiaj może pełnić rolę kulturowego pomostu między pokoleniami. Warto wspomnieć *Legendę lasu* Marii Zientary-Malewskiej albo *Zimę* Augustyna Steffena, syna gospodarza Warmiaka z Sząwałdu koło Olsztyna.

W kilku wydanych po II wojnie światowej antologiach poezji warmińskiej przewija się ponadto nazwisko poety z Gietrzwałdu Andrzeja Samulowskiego. Jednak jego poezja jest mocno nasycona patriotyczną nutą i jak czytamy w opracowaniach „niewiele w niej poetyckiego kunsztu”. Waler twórczości Samulowskiego tkwi w jego zaangażowaniu. W bodaj najbardziej znanym wierszu tego poety, *Do braci Warnijków*, młody czytelnik, jeśli w pełni nie zrozumie aspektu społeczno-politycznego, z całą pewnością zauważy pozytywistyczne ideały, czyli pochwałę pracy i nauki:

MOJE
twoje
nasze
olsztyn

WBP 3/40 2016

Nuże, bracia Warnijacy,

Dość długośmy spali;

Do oświaty i do pracy

Czas, byśmy powstałi.

Bo bez pracy to nam z nieba

Gotówka nie spadnie

Bez nauki kawał chleba

Zarobić nie snadnie.

(...)

Więc po pracy krzepmy ducha

W pismach budujących;

Kto nie czyta, ten niech słucha

Innych czytających.

Plakat składany i drukowany ręcznie, Pracownia Starych Technik Drukarskich, WBP w Olsztynie

Ciekawą postacią jest niemal w ogóle nieznany przyjaciel Samulowskiego, również poeta z Sząbruka — Sylwester Antoni Schnarbach. Raczej malarz niż pisarz, tworzył wiersze głównie dla siebie. Uczniom klas starszych poszukującym mało znanego, a przez to wyjątkowego warmińskiego poety, można polecić jeden z nielicznych wydrukowanych jego utworów — *Powiew wolności*. Należy przy tym pamiętać, że to poezja o silnym charakterze religijnym, poświęcona nie tyle samej Warmii, co Polsce. Autor większość życia spędził bowiem poza rodzinnymi stronami, dając wyraz przywiązania do ziemi ojczystej dopiero w okresie plebiscytów w 1920 r.

Z tego okresu pochodzi też *Hymn warmijski* zaczynający się od słów *O, Warmio, kraju nasz!*, znany raczej z wersów drugiej zwrotki:

O, Warmio moja miła,

Rodzinną ziemio ma! (...)

Co ciekawe, większość mieszkańców regionu kojarzy ten utwór z Feliksem Nowowiejskim, autorem muzyki do hejnału granego z ratuszowej wieży w Olsztynie i oficjalnego hymnu miasta. W powszechnej opinii sam wiersz jest przypisywany Marii Zientarze-Malewskiej. Tymczasem sława należy się raczej bratu Feliksa Nowowiejskiego — Rudolfowi, który najprawdopodobniej napisał go w oparciu o hymn Władysława Bełzy, do którego też Feliks Nowowiejski swego czasu komponował muzykę.

Listę poetów z Warmii można by jeszcze wydłużyć, choćby o postać Jana Liszewskiego, syna kowala z Klebarka Wielkiego, którego twórczość poetycką przyćmiła zdecydowanie działalność wydawnicza i założenie „Gazety Olsztyńskiej”. Faktem jest, że przyszłych deklamatorów w konkursach recytatorskich lub czytania gwarą warmińską czeka duży wybór. Dorobek wspaniałej Marii Zientary-Malewskiej naturalnie zasługuje na to, by o niej pamiętać, jednak są i inni poeci, którzy w kwestii ochrony dziedzictwa kulturowego i językowego Warmii też mają do spełnienia swoje zadanie specjalne.

Fot. z archiwum Radia Olsztyn



EWA ZDROJKOWSKA

Regina, Klara, Zofia i inne

Urodziłam się w Braniewie, tu się wychowałam i wzrastałam. Siostry katarzynki widywałam na ulicy, w kościele, w szkole. Katechizowały mnie, przygotowywały do sakramentów: do I komunii św. i bierzmowania. W dzieciństwie należałam też do chóru parafialnego prowadzonego przez siostrę katarzynkę. Bardzo mi imponowała. Grała na gitarze, była radosna, poświęcała wiele czasu na zabawę z nami. I zauroczona tą siostrą, jako dziesięcioletnia dziewczynka, wpisałam do wyłożonej w kościele parafialnym księgi, w której zamieszczano prośby za wstawiennictwem Reginy Protmann: „Regino, proszę Cię o powołanie zakonne”. Oczywiście zupełnie nie wiedziałam, z czym to się tak naprawdę wiąże. I po wielu, wielu latach, gdy byłam już na studiach, Regina wyprosiła mi to u Pana Boga. Poczułam ogromne pragnienie wstąpienia do klasztoru. Przerwałam studia i przyszedłam tutaj do sióstr. I mam nadzieję, że będę tu do końca życia.

W Biskupcu, skąd pochodzę, siostry katarzynki pracowały w parafii, do której należałam, ale w szkole sióstr nie było. I jako nigdy mnie do nich nie ciągnęło. Chciałam być lekarzem albo pracować w wielkich biurach. Jednak pewnego razu koleżanka, która pomagała jednej z sióstr w przygotowaniu dekoracji, powiedziała do mnie: — Chodź, Magda, pójdziemy razem. Pomyślałam: „Boże, do zakonnice? Nie, ja nigdy!”. W końcu jednak koleżanka mnie przekonała i wybrałyśmy się razem do kościoła, do tej siostry. Podobnie jak s. Zofię, zachwycił mnie uśmiech — to było coś niesamowitego, ja nigdy wcześniej z takim uśmiechem i taką radością, jaką miała wypisaną na twarzy ta siostra, się nie spotkałam. Koleżanka oddała dekorację i poszła, a ja zostałam na mszy św. Wspomniana siostra pracowała w zakrystii, więc przed mszą św. i po jej zakończeniu miałam okazję obserwować, jak krząta się przy ołtarzu. Śledziłam jej ruchy, jej uśmiech. Byłam tak zachwycona, że siedziałam i prosiłam w duchu, by siostra do mnie podeszła. I kiedy po zakończeniu mszy św. siedziałam w ostatniej ławce z twarzą ukrytą w dłoniach, siostra podeszła i zapytała, jak się nazywam, co robię itd. Tak rozpoczęła się moja znajomość z katarzynkami. Później kilkakrotnie brałam udział w organizowanych przez siostry katarzynki w Braniewie dniach skupienia dla młodzieży. Tu poznałam s. Zofię. Później ze sobą rozmawiałyśmy, ona była już w klasztorze, a ja jeszcze zastanawiałam się nad podjęciem tej ważnej decyzji. We wrześniu, po maturze, wstąpiłam do Zgromadzenia. I myślę, że nie przez przypadek spotkałyśmy się z s. Zofią razem na roku.

Z s. Klarą i s. Zofią rozmawiałam w przededniu złożenia przez nie Ślubów wieczystych w Zgromadzeniu Sióstr św. Katarzyny Dziewicy i Męczennicy. Rozmowę w Domu Prowincjalnym w Braniewie zaczęłyśmy w kaplicy pw. Regina Coeli, gdzie znajduje się relikwiarz założycielki Zgromadzenia, bł. Reginy Protmann.

Zofia: W tym relikwiarzu jest rzepka z kolana naszej bł. Matki Reginy. Nad relikwiarzem wypisane są jej słowa: — Bardziej godny uznania jest ten, kto

łódkę swą prowadzi wśród trudów i niebezpieczeństw aniżeli ten, kto żegluguje z prądem i wiatrem.

Ewa Zdrojowska: Mam też tablicę z napisem: 13 czerwca 1999 roku papież Jan Paweł II...

Zofia: ...włączył naszą założycielkę w poczet błogosławionych i świętych Kościoła powszechnego, czyli świętość jej życia, rozpowszechniony kult został przypieczętowany oficjalnie w Kościele.

Klara: Regina Protmann urodziła się w 1552 r. w Braniewie w zamożnej rodzinie patrycjuszowskiej. Ojciec, Piotr Protmann, należał do gildii bogatych kupców, a matka, również Regina, była córką burmistrza Starego Miasta Braniewa — Szymona Tingelsa. O młodzieńcych latach Reginy dowiadujemy się z jej biografii wydanej drukiem w Krakowie w 1623 r. Była urodziwa, pewna siebie, podziwiana przez towarzyszek. Lubiła też, mówiąc dzisiejszym językiem, dobrą zabawę, bo jak można wyczytać w dokumentach źródłowych: na balach w pięknych kreacjach przyciągała uwagę wielu mężczyzn.

EZ: I w pewnym momencie zrezygnowała z tej urody życia.

Klara: Kiedy miała osiemnaście lat, w Braniewie swoje śmiertelne żniwo zbierała epidemia dżumy. Regina zaczęła się zastanawiać, co mogłaby zrobić dla chorych, zrozpaczonych, konających, pozbawionych opieki ludzi, których widziała za oknami swojego domu, którzy, w przeciwieństwie do niej, niczego nie posiadali. Postanowiła opuścić swój zamożny dom, rodziców, rodzeństwo i wraz z dwiema koleżankami zamieszkała niedaleko kościoła parafialnego w małym, rozwalającym się domku. Dziewczęta odwiedzały i pielęgnowały chorych, opuszczonych, niedożywionych, przygotowywały lekarstwa i leczyły. Na swoje utrzymanie zarabiały tkaniem, szyciem, haftowaniem, sprzedając świec. Taki był początek nowego zgromadzenia żeńskiego.

Zofia: To, co mnie najbardziej zachwyca w tych początkach, to to, że Regina wszystkie sprawy powierzała Jezusowi. Tylko z Niego czerpała siłę. Zawsze powtarzała swoim siostrom, żeby się nie martwiły o przyszłość, że Jezus im pomoże. Charakterystycznym dla naszego Zgromadzenia symbolem jest beczka. Symbol ten wywodzi się z tego, że Matka Regina w skrajnym ubóstwie, z braku stołu, spożywała wraz ze swoimi siostrami chleb na beczce. Gromadziła wspólnotę właśnie przy łamaniu chleba, gdyż żyła cały czas tajemnicami paschalnymi. I wiedziała, co robi. W momencie, kiedy były w najtrudniejszej sytuacji, w ich domu pojawiła się nieznajoma kobieta, która przyszła wspomóc finansowo powstałą wspólnotę. Kiedy Matka Regina poszła przygotować jej posiłek, kobieta zniknęła, zostawiając pieniądze. Było to ewidentne działanie Pana Boga w jej życiu. Pokazuje ono, że nawet w najtrudniejszej sytuacji trzeba zaufać Jezusowi. Tak czyniła Matka Regina i się nie zawiodła. I tego uczyła swoje siostry. My

również staramy się to kontynuować i z ufnością polecać Bogu wszystkie nasze sprawy.

EZ: Patronką Zgromadzenia jest św. Katarzyna Aleksandryjska. Przedstawiają ją rzeźba stoi przed wejściem do klasztornej kaplicy w Braniewie.

Zofia: Św. Katarzyna Aleksandryjska jest przedstawiana z mieczem, z połączonym kołem i z palmą męczeństwa w ręku. Żyła w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i za wiarę w Chrystusa została ścięta mieczem, a wcześniej była męczona na kole. W trakcie tortur zdarzył się cud — koło pękło. Legenda głosi, że św. Katarzyna została pochowana na Górze Synaj, gdzie do dzisiaj jest klasztor pod jej wezwaniem.

EZ: W kaplicy pw. Regina Coeli są witraże z wizerunkami patronki i założycielki Zgromadzenia.

Zofia: Regina Protmann jest przedstawiana z krzyżem w ręku i z regułą. To są atrybuty, które były już obecne na obrazie beatyfikacyjnym. Oznaczają, że Regina swoje życie poświęciła Jezusowi Oblubieńcowi. Jako dziecko chodziła do kościoła pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej i wiemy z przekazów jej biografa, że wpatrywała się w krzyż i próbowała znaleźć odpowiedź na pytanie, skąd na świecie tyle cierpienia? Pytanie to pojawiło się, gdyż, jak już wcześniej wspomnieliśmy, Braniewo nawiedzały epidemie dżumy. Chorzy często byli zostawiani na ulicach i Regina jako dwunastoletnia dziewczyna to wszystko widziała. Wtedy właśnie rodziły się w jej sercu pytania, na które szukała odpowiedzi, wpatrując się w cierpiącego Chrystusa. Po kilku latach funkcjonowania młodej wspólnoty Regina napisała Regułę porządkującą życie codzienne sióstr. Podczas jej redagowania korzystała z pomocy ojców jezuitów, których do Braniewa w 1564 r. sprowadził kardynał Stanisław Hozjusz. Regina w młodości prawdopodobnie należała do sodalicii mariańskiej prowadzonej przez jezuitów. Później, jako przełożona Zgromadzenia, korzystała z przewodnictwa duchowego ojców jezuitów, dlatego też wiele elementów naszej duchowości pochodzi od jezuitów, od Ignacego Loyoli, z którego (myśli) Regina czerpała inspirację.

EZ: Co zawierała ta *Reguła*?

Zofia: *Pierwsza Reguła* została zatwierdzona w 1583 r. przez bp. warmińskiego Marcina Kromera. Zawierała ona, tak ogólnie mówiąc, zasady życia sióstr we wspólnocie, a więc ustalała porządek dnia: o której godzinie siostry wstawały, o której godzinie modliły się, pracowały, a także jakie kierunki pracy siostry miały podejmować. Takim ewenementem, myślę, że na skalę światową, jest to, że ta Reguła jeszcze za życia założycielki była zatwierdzona przez Stolicę Apostolską. Stało się to w 1602 r. Bardzo rzadko się zdarza, żeby Stolica Apostolska zatwierdziła regułę życia zakonnego jeszcze za życia założyciela danego zgromadzenia.

EZ: Zgromadzenie istnieje już ponad czterysta lat.

Zofia: Jeśli chodzi o zgromadzenia czynne, jest to jedno z pierwszych zgromadzeń na świecie. Wcześniej w Elblągu były brygidki, jednak długo się tam nie zadomowiły. Znany jest w historii epizod, gdy prawdopodobnie bp Marcin Kromer nie był chętny nowym zgromadzeniom. Wiemy, że kiedy w Gdańsku toczyła się wojna, dwie brygidki uciekały z tego miasta i chciały się zatrzymać w Braniewie, ale bp Kromer nie wydał na to zgody. Natomiast zgromadzenie, które założyła

Regina Protmann, bardzo szybko zyskało jego aprobatę. Myślę, że stało się tak dlatego, iż miało ono właśnie charakter czynny, że Regina ze swoimi siostrami wychodziła do chorych i potrzebujących, objęła opieką młodzież żeńską, którą uczyła pisać i czytać. Należy pamiętać, że w tamtych czasach dziewczęta nie były objęte edukacją. Myślę, że to ta pionierska działalność pierwszych katarzynek wpłynęła na taką przychyłność biskupa Kromera. Zgromadzenie, które Regina założyła, wypełniło pewną lukę, która powstała po beginkach. Beginki nie były zakonnicami, to były panny, osoby świeckie, które żyły przy parafiach. Zajmowały się pracą ręczną, haftowaniem, wspieraniem ubogich. I wówczas, kiedy Regina rozpoczynała życie zakonne, beginek było już niewiele. Tylko kilka starszych już kobiet mieszkało w Braniewie i w Ornecie. Regina, za zgodą biskupa, zajmowała ich domy i tam tworzyła nowe wspólnoty zakonne.

EZ: A te reguły ustalone przez bł. Reginę Protmann przetrwały do dziś?

Klara: Tak, są zachowane rękopisy *Pierwszej Reguły*. Na przestrzeni wieków ulegały one pewnym zmianom, korektom, gdyż świat się zmieniał. Nasze posługiwanie wymagało przystosowania się w pewnym stopniu do tego, czego w danym momencie historii świat od nas oczekiwał. Oczywiście nie, żeby dać się pochłoniąć temu światu, ale by otworzyć się na potrzeby konkretnych ludzi żyjących na przestrzeni wieków. Obecnie każda siostra katarzynka podczas formacji w nowicjacie i junioracie poznaje poszczególne artykuły Konstytucji (tak nazywają się obecnie przepisy prawne normujące życie sióstr). Nasze Zgromadzenie jest zgromadzeniem międzynarodowym, pracujemy w różnych częściach świata, więc do Konstytucji Zgromadzenia, która obowiązuje wszystkie siostry św. Katarzyny, dołączone są jeszcze Statuty poszczególnych prowincji, czyli takie punkty, na które muszą zwrócić szczególną uwagę siostry posługujące np. w Polsce. Inne Statuty mają siostry w Niemczech czy w Brazylii.

EZ: Na piętrze Domu Prowincjalnego w Braniewie jest wystawa, na której prezentowane są wizerunki Matki Reginy, a także pamiątki z nią związane. Znajdują się tam także zdjęcia sióstr—męczenniczek z czasów II wojny światowej. Obecnie trwa proces beatyfikacyjny 17 sióstr, które pracowały w Olsztynie, Ornecie oraz Lidzbarku Warmińskim i w 1945 r. poniosły śmierć z rąk żołnierzy radzieckich w obronie czystości i wiary.

Jest też dokumentacja do procesu beatyfikacyjnego bł. Matki Reginy.

Klara: Tylko męczennicy mają otwartą drogę do beatyfikacji bez konieczności zaistnienia cudu za ich wstawiennictwem. Natomiast od innych osób, które żyły, praktykując heroicznie cnoty, wymagany jest cud. Również w wypadku naszej Matki Reginy cud był konieczny. I taki cud się zdarzył w 1961 r., kilka dni przed rozpoczęciem procesu na etapie diecezjalnym. W Brazylii pewien czterdziestoparoletni mężczyzna poważnie zachorował. Dostał wewnętrzny krwotok i został przewieziony do szpitala. Tam przeszedł trzy operacje, nie przyniosły one jednak skutku. Lekarze orzekli, że już nic mu nie pomoże, właściwie trzeba tylko czekać na śmierć. I w tym momencie siostra katarzynka, która pracowała tam jako pielęgniarka, zaproponowała choremu i jego żonie, żeby pomodlić się za wstawiennictwem Reginy Protmann o uzdrowienie chorego mężczyzny. Podczas wspólnej modlitwy w pewnym momencie chory krzyknął, że jest zdrowy.

I faktycznie lekarze stwierdzili, że krwotok ustał, nastąpiło niczym niewytłumaczalne uzdrowienie i po kilku dniach ten człowiek wyszedł ze szpitala. Cud został uznany przez Stolicę Apostolską i stał się podstawą do sfinalizowania procesu beatyfikacyjnego i do ogłoszenia Matki Reginy błogostawioną. W 1999 r. człowiek ów był obecny w Warszawie na jej beatyfikacji.

Zofia: My nie skrywamy naszego skarbu, jakim jest Błogostawiona ziemi warmińskiej. Każdy może do nas przyjść, zobaczyć dokumenty, o których opowiadamy, oraz obejrzeć szereg zdjęć. Zależy nam na tym, żeby Matka Regina była znana, nie tylko na Warmii, ale i w całej Polsce i na świecie. Myślę, że to jest kobieta, z której można brać przykład również i dziś, bo ona wyprzedziła swoją epokę. To, co uczyniła, było ewenementem na skalę światową. Odważyła się stworzyć klasztor, w którym siostry nie zamknęły się za murami, za klauzurą, lecz wyszły do ludzi. Pierwszym kierunkiem pracy sióstr katarzynek była opieka nad chorymi i potrzebującymi pomocy. Braniewo, jak zostało to już powiedziane, było kilkakrotnie dotykane epidemiami dżumy. Wielu chorych było pozostawionych bez opieki, dlatego siostry pielęgnowały potrzebujących w szpitalach i ich domach. W Regule Matka Regina napisała, że siostry w razie potrzeby mogą zostać na noc u chorego, aby otoczyć go opieką. Na tamte czasy było to nowością, bo siostry zakonne nie mogły dotąd wychodzić poza mury klasztorne. Drugim kierunkiem pracy sióstr była opieka nad dziewczętami oraz ich kształcenie. Później, na przestrzeni wieków, siostry katarzynki były często nazywane siostrami szkolnymi, dlatego że miały ogromny wpływ na podnoszenie poziomu kształcenia na Warmii. I trzecim kierunkiem pracy była troska o kościoły: dbanie o ich wystrój, przyozdabianie ołtarzy kwiatami, wyrabianie świec, haftowanie bielizny kielichowej, wyszywanie ornatów i alb. Szereg tych prac wykonujemy po dzień dzisiejszy.

Klara: W naszym domu jest też tzw. pokój Matki Reginy. Warto tu zwrócić uwagę na wystawę związaną z relikwiami bł. Reginy. Jest tam prezentowana skrzynia, w której zgromadzono narzędzia, którymi posługiwano się podczas poszukiwań jej szczątków. Na zdjęciach widnieje miejsce odnalezienia relikwii.

EZ: W podpisie na zdjęciu czytamy: Mamonowo, ul. Stachanowskaja 5, dom, w którym relikwie Reginy Protmann były ukrywane w latach 1945-1991.

Zofia: Regina została pochowana w Braniewie, w podziemiach kościoła jezuitów. To było niespotykane, że jezuici pozwolili pochować kobietę — założycielkę zgromadzenia, w podziemiach, w których chowano tylko członków tego zakonu. To oznacza, że Regina była osobą bardzo poważaną w społeczeństwie braniewskim, również przez ojców jezuitów. I w tych podziemiach spoczywała do 1809 r. — do czasu, kiedy kościół został przeznaczony do rozbioru. Siostry wyjęły wówczas kilka kości z trumny i przeniosły je do podziemia kościoła parafialnego św. Katarzyny Aleksandryjskiej. A kiedy w 1929 r. rozpoczęły się prace związane z zakładaniem ogrzewania w kościele, podziemia zostały otwarte i kości przeniesiono tutaj — do nowo wybudowanego klasztoru. Przechowywano je w relikwiarzu, w oratorium, czyli w takim pomieszczeniu, gdzie siostry się modliły. W 1945 r., kiedy do Braniewa zbliżały się wojska radzieckie, nastąpiła

ewakuacja wszystkich mieszkańców, również i sióstr katarzynek. Siostry, uciekając z Braniewa, zabrały kości założycielki i gdy dotarły do Świętej Siewierki, dzisiejszego Mamonowa w obwodzie kaliningradzkim, ukryły je w jednym z domów. Po wojnie siostry wróciły do Braniewa, ale dopiero w 1991 r. można było rozpocząć poszukiwania szczątków Matki Reginy. Inicjatorem był śp. ks. prałat Tadeusz Brandys. Dzięki pomocy dawnych mieszkańców Mamonowa poszukiwania zakończyły się sukcesem.

EZ: Jedna z relikwii znajduje się w Braniewie...

Zofia: ...a pozostałe są w Domu Generalnym w Grottaferrata pod Rzymem. Relikwie znajdują się też w naszych wspólnotach w Niemczech.

Klara: W pokoju Matki Reginy wyłożone są też Konstytucje drukowane w kilku językach. Pochodzą one z różnych stron świata, z krajów, gdzie posługują siostry katarzynki, a więc z Brazylii (tam są dwie prowincje), Litwy, Rosji, Włoch, z regionu Togo, Filipin i Haiti. W tym ostatnim państwie siostry zamieszkały na stałe wśród tych ludzi, którzy byli dotknięci wielką klęską żywiołową.

EZ: I wszędzie na świecie katarzynki opiekują się chorymi, potrzebującymi pomocy.

Zofia: Tak, zgadza się. Jest to nasz charyzmat, który pozostawiła nam nasza założycielka: opieka nad człowiekiem chorym, potrzebującym pomocy, w którym mieszka sam Chrystus. I dlatego siostry pracują też w domach opieki. W Lidzbarku i w Barczewie prowadzą domy dla starszych osób, a w Bisztynku w Domu Pomocy Społecznej siostry opiekują się dziewczętami z upośledzeniem umysłowym.

Klara: W tym pokoju jest też coś bardzo ważnego dla nas katarzynek, to umieszczone na ścianie słowa testamentu bł. Reginy Protmann:

„Jest to moim pokornym i matczynym upomnieniem dla was, moje kochane siostry, byście zawsze przed Panem Bogiem i naszym najukochańszym oblubieńcem Jezusem Chrystusem, a także przed wszystkimi ludźmi wiernie trwały w karności, skromności, pokorze, prawdziwej cierpliwości, w doskonałym posłuszeństwie i chrześcijańskiej miłości. Uczcie się, ukochane siostry, umartwiać w sobie nie tylko te bardzo szkodliwe, ale także i wszystkie małe, drobne i nieuporządkowane pożądania, które mogą zaszkodzić waszemu powołaniu i stanowi, a mianowicie: niepotrzebne rozmowy, podejrzliwe, próżniacze myśli, lenistwo i pusty śmiech. Pilnie się o to starajcie, byście nie tylko między sobą realizowały siostrzaną miłość, ale żebyście z każdym człowiekiem żyły w pokoju, a Bóg dobry będzie was we wszystkim wspomagał i będzie wam błogostawiał.”

Artykuł powstał na podstawie radiowej audycji Ewy Zdrojkowskiej „Kronikarz warmiński—mazurski”. Niniejszy tekst publikujemy w 414. rocznicę zatwierdzenia przez Stolicę Apostolską Zgromadzenia Sióstr św. Katarzyny Dziewicy i Męczennicy.

S. Klara po złożeniu ślubów wieczystych pracuje w Domu Prowincjalnym w Braniewie, a siostra Zofia w Nowym Dworze Mazowieckim, gdzie pełni posługę katechetyczną.

ANDRZEJ ZB. BRZozowski

A jednak po nich coś zostało...

Zaduszki to czas refleksji, wspomnień i zadumy. Nie odnoszą się one tylko do kręgu najbliższej rodziny — sięgamy pamięcią do przyjaciół, znajomych, a nawet obcych nam ludzi, których ceniliśmy za ich postawy, umiejętności, działanie czy talent.

Takimi postaciami są na pewno ludzie szeroko pojmowanej kultury. Nie tylko twórcy i artyści, którzy są najbardziej zauważani w tym gronie, ale także kreatorzy oraz animatorzy artystycznych działań. Wielu z nich trwale zapisało się w historii kultury regionu czy nawet kraju. Olsztyn nie jest w tej materii miastem odosobnionym, czego można było doświadczyć na pierwszych Olsztyńskich Zaduszkach Artystyczno-Estradowych, które odbyły się 26 października w Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych.

Organizatorem tego wieczoru wspomnień było Towarzystwo Miłośników Olsztyna. To pierwsza tego typu impreza zorganizowana z takim rozmachem w naszym mieście. Do tej pory różnego rodzaju wieczory zaduszkowe ograniczały się głównie, lub tylko, do artystycznych prezentacji (jazzowych, rockowych, poetyckich itp.) Tym razem olsztyńskie zespoły: Czerwony Tulipan, Czyści jak Łza oraz Kaczki z Nowej Paczki — wspominały swoich przyjaciół, twórców i artystów, którzy nie tylko pojawili się na ich artystycznych drogach, ale także trwale zapisali się w historii działalności na rzecz rozwoju kultury naszego miasta. We wspomnieniach wzięli także udział: Władysław Katarzyński, Tadeusz Prusiński i Zbigniew Siwek, a koncert poprowadził Andrzej Brzozowski. Przyjaciele i znajomi wspomnianych osób byli zarówno na scenie, jak i na widowni, która w komplecie zapełniła salę na długo przed rozpoczęciem koncertu.

Przywołano pamięć satyryka Wojciecha Sobola, poety i prozaika Jerzego Ignaciuka, reżysera i dyrektora Krzysztofa Rościszewskiego, aktora Stefana



Burczyka, dyrektora i reżysera Bohdana Głuszcza, animatorki kultury Krystyny Spikert, poety i malarza Józefa Jacka Rojka, muzyków i satyryków Andrzeja i Zbyszka Rojków, muzyka Piotra Wolińskiego, muzyka Pawła Banasiuka, rysownika i rzeźbiarza Aleksandra Wołosa, fotografika Ryszarda Czerwińskiego, dziennikarza i krytyka muzyczno-literackiego Tadeusza Szytłękę, realizatorów imprez estradowych Bogdana Kucharzewskiego i Antoniego Farsewicz, satyryka Waldemara Kłusowskiego, pisarkę i poetkę Mariolę Platte oraz redaktora Radia Olsztyn Andrzeja Śleszyńskiego.

Pomimo swojego charakteru nie był to smutny wieczór, chociaż czasami Łza zakręciła się w oku. Zwłaszcza gdy śpiewano lub recytowano fragmenty twórczości wspomnianych osób, a były to utwory i teksty powszechnie znane, także zgromadzonej publiczności.

Olsztyńskie Zaduszki Artystyczno-Estradowe, zgodnie ze swoją nazwą, ograniczyły się do przypomnienia działalności i twórczości osób z kręgu olsztyńskiej kultury. Oczywiście ze względów czasowych ograniczono się do kilkunastu osób, co nie znaczy, że zapomniano o innych. W czasie zakulisowych rozmów po koncercie padła propozycja, aby tego rodzaju wieczór wspomnień odbywał się cyklicznie — każdego roku w okolicach Dnia Zadusznego. Można go poszerzyć o kręgi innych zasłużonych dla Olsztyna osób, jak na przykład sportowców czy działaczy społecznych. Instytucją, która powinna zająć się organizacją tego wydarzenia, jest Towarzystwo Miłośników Olsztyna, oczywiście przy pełnym poparciu i organizacyjnej pomocy władz miasta.

Ponieważ krótkie notki biograficzne o osobach, które odeszły, powtarzałyby się każdego roku, można wprowadzić zasadę szerszej prezentacji kilku twórców i artystów na każdym kolejnym wieczorze. W niektórych przypadkach dałoby się to wzbogacić prezentacją audiowizualną ze zbiorów prywatnych, telewizyjnych i radiowych. W przypadku malarzy, rysowników, rzeźbiarzy czy fotografików można w foyer przygotować specjalne galerie i ekspozycje.

Do prezentacji artystycznych trzeba by zaprosić także młodych twórców i artystów, którzy poprzez taki udział mieliby okazję do zapoznania się z dorobkiem tych, którzy już odeszli, a przecież zaczynali tak jak oni. Interpretacje tekstów, piosenek czy nowe aranżacje pokazywałyby nie tylko szacunek, ale także kontynuację twórczą.

Warto też pomyśleć o pamiątkowym wydaniu książkowym krótkich informacji biograficznych o osobach, które odeszły i zapisały się w historii naszego miasta. Pamięć o nich, ich działalności i dokonaniach jest przecież naszą wspólną spuścizną kulturową.

OSWALD KOWALEWSKI, red. MONIKA KOWALEWSKA

Opowieści z Warmii

„Położone z dala od centrum życia publicznego Pluski stanowiły w przeszłości osobliwą oazę, w której z pietyzmem odnoszono się do tradycji. Cywilizacja jakby omijała wieś. Tu przechowywano stare pieśni, legendy i dawne zwyczaje doroczne”¹.

POŻAR

Przed 1908 r., kiedy spaliły się Pluski, to tam, gdzie najmniej osadników było, to były te czyste warmińskie wioski. 50 lat tu nie ściągał nikt, jak cholera była. Przecież do 1900 r. to tu była kłeska okropna, bo przeż jak cholera panowała, to aż pod Elbląg, aż tam Braniewo i tamte okolice, to tutaj była prawdziwa pustka. A jak spaliły się te Pluski, to tam nie wiadomo, co to, kto to z powrotem tam uj wrócił, to wszystko było nowe, pięć rodzin przecież polskich osiedliło się i to wszystko się zuzamen później zaczęło żenić...

ZA JEZIOREM...

I ludzie, jak było pusto w Pluskach, to za jezioram mieszkali (Gryżliny, Zielonowo). I był tam u gospodarza taki duży sad z jabłkami, z gruszkami, nad jeziorem taki kawałek i tam stał mały budynek, ja zawsze mówił, że jek mały byłem, to jak doszedłem do tego domu, to mogłem za trzciny na dach złapać, a okienka bardzo malutkie. Takie tam budowali. I u tego gospodarza ludzie się wyrabiali (byli parobkami), za to mogli sobie kury chować i dostawali zboże na mąka i takie rzeczy, to jak on jechał do młyna, to dla nich tyż mielił, każdy przecież sam sobie chlyb piekł. Nie było, żeś poszedł chlyb kupować. Ja pamiętam, taki mały ja tam zawsze chodziłem na brzeg przy domu i tą historię za jeziorem oglądałem... A ja widział, jak on orał, jak siał, tam było za jeziorem widać, że chodzi w konie ktoś tam. Dla mnie to było cuś dziwnego, że za takim jaziorem, za taką wodą tam ktoś mieszko...

LOTNISKO W ZIELONOWIE

Albo jek było w Zielonowie to lotnisko, to jek wojna była, te „sztukasy” lądowali prosto na Zielonowo, prosto na Pluszne jezioro i osiągalni swoją wysokość i ta wyspa, co tam jest, ta trzcinowo taka, tam jak teraz mało wody jest, to można sucho chodzić w środku, tak trzciną obrośnięte, to tam postawili taki

stół blaszany i te sztukasy mieli celować, tam uj te bomby puszczać przed siebie, ale cementowe. To później po wojnie pamiętam: jo, ciotka, siostra moja i Ópa usiedli wieczorem, a przecież rybaczówka była tam przy naszym domu, to poszedł Ópa (był brygadzystą w rybaczówce) tam do szopy, znalazł kawał sieci, uciół, dociół tam, żeby nałożyć na takie patyki i zioł krążył tym, podniósł do góry i ryby były. I żeśmy któregoś razu pojechali, ja taki mały, 7 czy 8 lat, może 10 już, ale to już ciemno prawie się robiło, wieczorem to było, tak żeby nikt nie widział, to my łódką do trzciny wjechali i ja się tam przyczepił do tyj trzciny i siedział i się przyglądał, i tak: Ópa od brzegu, Maryja z głębokiego, a Brygida tam przy łódce chodziła w wodzie i tak idą, idą i Maryi nie ma, ciach w lej po tej betonowej bombie. Tam dziura się zrobiła, więc idzie i pach, i nie ma ją. „Uhhh” tylko było słyszeć jak krzyknęła, ale ona pływać dobrze pływała. Ja taki mały był, to siostry wchodzili do wody i płynęli na druga strona, prosto na las, a ja łódko za nimi jechoł, dojechałem do trzciny, po prostu aż w trzciny wjechałem, weszli w łódkę i na zmianę później z powrotem wiostowali. A tam takie grube drzewo, tako grubo olszyno zawsze koło ópów u noju nad jeziorem była, nie wiem, czy to drzewo jeszcze stoi, toć może jest, nie wiem, nie pamiętam. To tam siadali zawsze i śpiewali, judlowali takie „jojo-jojo”, jak to te judlowanie, jak oni to ładnie śpiewali...

I TYLE WOJNY WIDZIOŁ

W Pluskach też do wojska brali. Toć kolega był. 19 lat, a przeż był w Wermachcie, ale był, nie wiem, miesiąc czy dwa w tym wojsku, został ranny i go wycofali, i tyle wojny widzioł. Jakiś gdzieś granat pękł i odłamek leciał, leciał i go trafił, to nie to, że do niego ktoś strzelał, tylko normalnie granat jakiś pękł i go ranił, i tyle tej wojny. Później był w Niemczech. Tam, gdzie on był, oni mieli tam dwa chałupy i dużo ziemi, i tam tego wszystkiego, to później takich kaleków po wojnie, po tym co... albo stąd z polski wywieźli, to ich na gospodarstwa dawali, żeby ta ziemia obrabiać i to bydło. Ale przyjechał z powrotem i do domu. Każdy do domu chce, nie? Wrócił, bo tak to był, jakby to powiedzieć... on tu do szkoły chodził i po niemiecku umiał, ale jek tam w Niemczech był, to nie rozumiał ich...



Fot. widok na Jezioro Pluszne, z rodzinnego archiwum

ZATOPIONY BAŁTYK

Tako historię ci powiem, jek dostałem taki Bałtyk (rower). Ten Bałtyk to dwa dni w jeziorze leżał, nowy rower, całkiem nowy, rok czasu dopiero i go w tym chocholowym (Chochola: góra za wsią, w lesie — przyp. M.K.) rowie tam wyciągnęli, 25 metrów głęboko leżał i za przednie koło go wyciągnęli. Bo to był marzec i był taki lód, że rano 15 stopni mrozu było, to rano rowerami jechali my przez jezioro po lodzie, żeby na cmentarzu w Gryżlinach dół dla wujka kopnąć... A jek z powrotem żem jechali, topniało, bo słońce rozgrzewało lód. Nic nie widzisz, nie wiesz, gdzie jaka dziura albo co... „wsiiit” ja tu w dół jada, a nie po lodzie, i tylko rzuciłem się na bok, to od połowy na lodzie leżałem, a ta reszta już złapała wody, ale ja był w gumakach, to tylko z gumaków wodę wylał, onuce na brzeg, jak żeśmy już do brzegu doszli, bo Jasiu też by się wpakował, żeby miał normalny rower, ale miał damkę i miał boleć tylko, pedały nie było, i ja mówię „padnij”, a on mówi: „ja w końcu zrozumiał, że rowera twojego nie widzę” i rzucił się, i dobrze, że na tą stronę, co ten boleć, to go tak trzy razy przed tą dziurą okręciło, ja mówię „tylko jeszcze zrobisz dwa kroki i siedzisz, tam mój rower jest”. Paweł nadjechał, wszystko pomału pod brzeg, brzegiem żeśmy szli i z góry żem przyszli, bo naokoło lodem żem nie szli tylko łodem. My patrzywa, a na jeziorze, na środku jeziora tyle ludzi — utopili się ludzie ze wsi tego dnia.

Jek my przyszli, ópa wziął od nas sanki, a on widział mnie zawsze, że ja mam takie dzigi (kijki do odpychania się — przyp. M.K.) na sanki, i pojechał. Kawałek na lód pojechał, ale to jeszcze było za daleko, bo to aż po drugiej stronie górki tam dziura była i tam się wpakowali, i kawałek tak jechał i obrócił z powrotem. A na jego drodze była taka mniejsza dziura, nie co rybacy wyciągają sieci, bo tak to kadyki (kijki) stoją, tylko taka mała dziura, ale że to już topniało, to była coraz większa, i przejeżdżał przez tą dziurkę i sanki mu podbiło, i wyskoczyli sanki, a on łup w tą dziurę. To był ale dzień niesamowity.

POD LODEM

Oni pojechali po zboże do Mierek i wieźli na takich saniach, kiedyś mieli ludzie takie małe, takie krótkie, ale szerokie, takie mniej więcej jak stół długie sanki, z takimi dwoma poprzeczkami — normalnie mogłeś coś położyć na deski, albo na szyny, na te płozy mogłeś położyć i te dwa worki zboża. I oni pojechali do Mierek po zboże, a jeżeli we trzech, to na zmianę te worki przynosili w dół do jeziora i jechali z tym zbożem i wszyscy wpadli, tylko sam ojciec się wyratował. Te, co ich szukali, to wzięli urlop, wzięli od rybaków linki, kotwice i wzięli dawaj tę dziurę poszerzać, żeby dalej tymi kotwicami po dnie jechać i pamiętam, jek ten jeden, co był prawie na rybach, też przyleciał tam do tego, a ojciec mój też tam był i mówi: ty daj no ta twoja wondka — rozciągnął, do dna doszedł i szedł tak brzegiem dziury, albo wyciągnął i rzucił po drugiej stronie, puścił i tak pomalutku, pomalutku po dnie ciągnął, ciągnął i tak na skos troszeczkę ta żyłka stojąca i zaczepił za coś i urwał, a to była marynarka, to wiedzieli, że tam jest. Tak, to tego jednego szybko znaleźli, ale tego drugiego gorzej, tego drugiego dopiero na drugi dzień.

NA PASTERKĘ PO LODZIE

Ja pamiętam jedne Boże Narodzenie, żeśmy pojechali sankami, jeszcze Poul był ze swoim koniem, to ja właśnie z niem jechał. Wzioł dwa te półsanki takie i zrobił normalny drabiniak, tak jak siano się wozi ale zimową porą, bo pełno było ludzi, parę koni i żeśmy jechali chór śpiewać do Gryżlin. Ja już był żonaty wtedy. To było bardzo prędko zaraz po ślubie. Jeszcze Jakubassa (ks. Leonard Jakubassa (ówczesny probosz w Gryżlinach — przyp. M.K.) był, bo żeśmy zajechali, to nom herbatę zara parzył. Bo żem zmarzli ne, na sankach przez te lasy tam zanim się dojechało do tych Gryżlin... to pamiętam herbatę, kto chcioł, to dostał. W kościele chór śpiewał do góry, a ja z Iną przez ołtarzem pamiętam tą melodię we dwójkę żem śpiewali, a chór później powtarzał „oj maluśki maluśki”. To w Gryżlinach żem to tam śpiewali...

¹ Jan Chłosta, Pluski nad jeziorem Pluszne, Agencja WIT Witold Mierzejewski, Olsztyn 2007, s. 24-25.

Fragment plakatu z archiwum
W-M Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Olsztynie

MAŁGORZATA JACKIEWICZ-GARNIEC
GRAŻYNA PRUSIŃSKA

MOC SZTUKI.

Kolekcja sztuki współczesnej W-M Towarzystwa
Zachęty Sztuk Pięknych w Olsztynie 2005-2016



zbiory w miejscach alternatywnych — miały miejsce dwa pokazy w Koszarach Dragonów (dawna stajnia przy ul. Gietkowskiej w Olsztynie) oraz w Banku Ochrony Środowiska. Wystawa ze zbiorów Zachęty zainaugurowała działalność Galerii Marszałkowskiej w siedzibie Urzędu Marszałkowskiego w Olsztynie. Prace z kolekcji są również często wypożyczane na wystawy w muzeach i galeriach w Polsce, m.in. jedno z naszych sztandarowych dzieł „Słowo” Natalii Lach Lachowicz było eksponowane na wystawie w Narodowej Galerii „Zachęta” w Warszawie oraz ostatnio w Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu czy praca Zuzanny Janin „Idź za mną, zmień mnie już czas” w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie. Zespół prac z kolekcji uczestniczył też w wystawie w Pałacu Opatów, Oddziale Muzeum Narodowego w Gdańsku.

Kolekcja olsztyńskiej Zachęty jest także bazą dla działań edukacyjnych i promocyjnych dotyczących sztuki współczesnej. Od dziesięciu lat realizujemy projekt „Zachęta do sztuki”. Zapraszamy artystów, byśmy mogli w bezpośrednim kontakcie poznać ich wybory, postawy, zrozumieć język, jakim się posługują — gościliśmy m.in. Zbigniewa Libere, Zuzannę Janin czy Edwarda Dwurnika. Zapraszamy również wybitnych historyków sztuki i krytyków, by przybliżyli zjawiska sztuki współczesnej — odwiedzili nas m.in. Anda Rottenberg, Hanna Wróblewska, Bożena Czubak.

Zaczęliśmy pracę już jedenaście lat temu, zdając sobie sprawę, że stoimy przed wyjątkowym wyzwaniem, bo nie ma w Olsztynie kolekcji sztuki najnowszej o spójnym charakterze. Przyjęliśmy ambitne założenie, że nie będziemy ograniczać zbioru do jednej dziedziny artystycznej czy jednego nurtu — będzie miał charakter otwarty, dokumentujący wszelkie dziedziny artystycznej działalności składające się na obraz sztuki XX i XXI wieku. Kolekcja olsztyńskiej Zachęty przez znawców oceniana jest wysoko, jako jedna z pięciu najlepszych obok Wrocławia, Szczecina, Lublina i Białegostoku.

Po jedenastu latach, kiedy kolekcję tworzy już prawie 200 prac 80 artystów, a jej wartość przekroczyła milion złotych, możemy mówić o sukcesie. W stolicy naszego regionu i naszym mieście dzięki instytucjonalnej opiece Muzeum Warmii i Mazur istnieje reprezentatywna kolekcja sztuki współczesnej. Czy w Olsztynie jest w pełni doceniana? Mamy nadzieję, że tak, bo jest z czego być dumnym.

MARIUSZ KUKLIK

Bakcyl drukarski

Odkąd pamiętam, zawsze czytałem. Jako jedyne dziecko urodzone w roku '78 musiałem iść rok wcześniej do szkoły i kiedy tylko nauczyłem się czytać, czytałem. Albo bazgrałem w książkach rodziców (które ciągle jeszcze można znaleźć na strychu u dziadków).

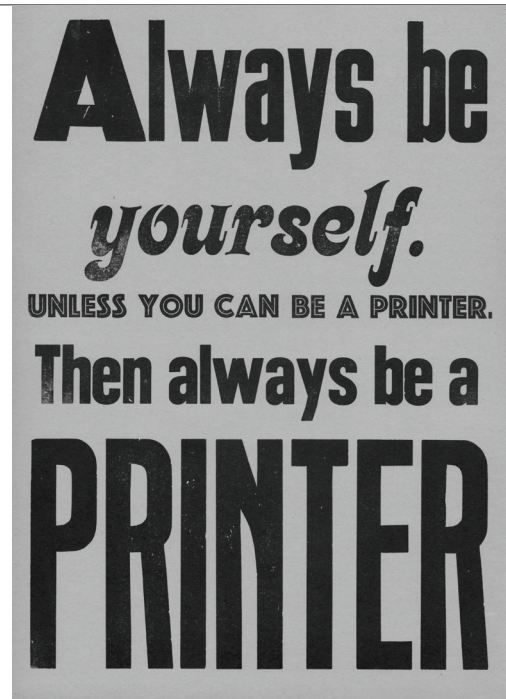
Gdy w roku 1988 przeprowadziliśmy się do Niemiec, w bagażu było kilkadziesiąt moich książek. Były dobrą pomocą po przeprowadzce z malutkiej wioski do ponad trzystutysięcznego miasta. Jak tylko nauczyłem się niemieckiego, zacząłem czytać niemieckie książki, ale podczas każdego pobytu w Polsce odwiedzałem kilka razy księgarnie, żeby zakupić zapasy.

Zawsze wiedziałem, że chcę robić coś kreatywnego — dużo rysowałem, plastyka była moim ulubionym zajęciem i miałem duże szczęście, że zacząłem uczęszczać na zajęcia dodatkowe w szkole muzyki i plastyki miasta Bielefeld. Jedne zajęcia popołudniowe szybko zamieniły się w kilka, powoli przeistaczałem się w rodzaj inwentarza szkoły i z czasem zmieniłem nieużywany składzik we własną pracownię, w której malowałem, rysowałem i spędzałem każdą wolną chwilę.

Po maturze odbyłem w tej szkole roczną praktykę i w ramach różnych zajęć przygotowywałem się do studiów, które zacząłem w rok po służbie zastępczej. Studiowałem w Münster, mieszkalem w Bielefeld — codziennie 3 godziny w pociągu, a więc dużo, dużo czasu na czytanie. Studiowałem ilustrację, malowałem, uczyłem się technik drukarskich, takich jak sitodruk, drzeworyt, akwaforta, ale nic o drukowaniu książek. Kursy typograficzne były dla mnie katorgą — nie rozumiałem, jak można się interesować czymś tak nudnym, jak jakieś literki, punkty, kroje, popychanie pikseli w In design, no po prostu nuuuuuda. Wolałem siedzieć w warsztatach i paćkać się farbą.

Skończyłem studia, wpadłem w dziurę, długi czas nie robiłem nic kreatywnego, aż raz przypadkiem zobaczyłem wywieszkę o wolnym miejscu w pracowni. Obejrzałem pomieszczenie, spodobało mi się, cena była przystępna, no i wreszcie znowu miałem miejsce do twórczej pracy. Na początku dzieliłem pomieszczenie z inną artystką, ale po jakimś czasie wyprowadziła się, ponieważ „tłumiłem ją energetycznie”.

Dopiero kilka lat po tym, jak skończyłem studia i stary budynek został zburzony, dowiedziałem się, że w piwnicach naszej uczelni znajdował się cały od lat nieużywany warsztat zecerski, który wylądował na złomie. Niestety stare techniki nie były zbyt pożądane przez dyrekcję — całe fundusze były



Plakat składany i drukowany ręcznie, Mariusz Kuklik

przeznaczone na nowe komputery i tym podobne rzeczy, a nasze warsztaty były traktowane po macoszemu. Tak to się więc stało, że nie miałem żadnego pojęcia o tym całym drukowaniu, aż raz, prawie przypadkiem, kupiłem na eBaju małą prasę, przy której było trochę ołowianych liter i inne akcesoria drukarskie. Zacząłem składać te literki i tak jakoś mnie to coraz mocniej i mocniej wciągało. Jedna aukcja na eBaju gonila drugą i powoli rozbudowywałem moją pracownię i moje umiejętności. Najbardziej polubiłem drukowanie drewnianymi czcionkami — lubię, gdy widać w gotowym druku ślady zużycia, zadrapania, słoje drewna, nierówności, dla mnie to ślady długiego i ciekawego użytkowania tych nierzaz już prawie antycznych rzeczy.

Lubię powolny tok pracy, składanie czcionek, dopasowywanie krojów, samo drukowanie ma w sobie coś z medytacji, co daje mi rodzaj uziemnienia w tym nierzaz zbyt szybkim świecie. Dlatego lubię zawsze czas spędzony u dziadków w Polsce. To możliwość nie tylko porządnego wyspania się i dobrego jedzenia, ale też dużo czasu na czytanie nowych nabytków. Czas, którego niestety często brakuje w Niemczech. Jest przecież tyle książek, które muszę jeszcze przeczytać. Mam to szczęście, że mogę wybierać w trzech językach (mój trzeci język to angielski, który był bardzo pomocny w nauce drukowania, kiedy czytałem informacje na forach internetowych i YouTube), niektóre tytuły po prostu dużo tracą w tłumaczeniach — Lem po niemiecku to nie to — każdy język ma swoją tonację i barwę i są pisarze, których muszę po prostu czytać w ich rodzimym języku.

I tak, przez połączenie wielu przypadków, wylądowałem przy drukowaniu, przy czymś, czego nie zamieniłbym już na nic innego.

Ten bakcyl jest po prostu nieuleczalny.

TERESA DWÓRZNIK-ROMAŃSKA

Kłosek

Kiedyś tam żył w jednej wsi nadwkrzańskiej chłop bogatszy od innych. Mówił często „pańskie oko konia tuczy”. I rzeczywiście wiodło mu się nad podziw w polu i zagrodzie. Późnym jeszcze wieczorem i wczesnym rankiem obchodził chlew, oborę i stajnię, żeby cieszyć oczy dostatnio wypasionymi zwierzętami. Pewnego ranka zaniemówił z wrażenia, gdy dostrzegł, że konie mają pozaplatane grzywy i ogony. Począł je rozczesywać, a potem szukać śladów w stajni, które mogłyby coś podpowiedzieć w sprawie dziwnego zdarzenia. Nic jednak nie znalazł. Na drugi ranek powtórzyło się to samo, i na trzeci, i na czwarty, i na każdy kolejny. Chłop ciągle rozczesywał grzywy i ogony. Nie dość tego, konie zaczęły być niespokojne i jakby nawet chudły. Zmartwił się okropnie gospodarz. Nic innego nie przyszło mu do głowy, jak tylko pokropić konie i stajnię wodą święconą, ale to nic nie pomogło. Jakiś czas trzymał on w tajemnicy te dziwaczne wydarzenia, lecz w końcu nie wytrzymał i zwierzył się z nieszczęścia sąsiadowi i dobrze zrobił, bo ten naprowadził go na pewną drogę.

— To nic innego tylko zmora. Tak działo się z końmi mojego dziadka. Niech sąsiad szuka dokładnie w grzywach i ogonach.

Następnego ranka chłop zaczął uważnie przypatrywać się rozczesywanemu włosiu. Nic ciekawego nie znalazł oprócz kłoska zaplątanego w jednym z warkoczy. Zasmucony znowu odwiedził sąsiada:

— Nic nie znalazłem. Tylko kłosek tkwił w ogonie. Nie wiem już, co robić.
— Znalazłeś, znalazłeś — odparł sąsiad.
— Ale co?
— To coś to jest ten kłosek. Jak jutro rano znowu go znajdziesz, spluń na niego i gwoździem przybij do futryny drzwi stajni.
— Co też sąsiad gada?
— Co gadam, to gadam. Zobaczysz, że w następnym dniu ani grzywy, ani ogony nie będą zaplecione. I może jeszcze coś ciekawszego zobaczysz.

Chłop tak zrobił, jak sąsiad kazał. Znowu znalazł kłosek w grzywie i słusznym gwoździem przybił go do futryny drzwi. Cały dzień co rusz zaglądał do stajni. Nic się nie działo. Kłos spokojnie tkwił przytwierdzony gwoździem. Jeszcze późnym wieczorem jak zawsze zajrzał do zwierząt i poszedł spać. Nie było jednak mowy o spaniu. Całą noc przewracał się, a skoro świt wielce zmęczony i zniecierpliwiony udał się do stajni. Otworzył drzwi i z przerażeniem cofnął się. Nie odważył się wejść sam. Poszedł do sąsiada. Temu nawet nie musiał nic mówić, bowiem sąsiad odgadł od razu, w czym rzecz.

TERESA DWÓRZNIK-ROMAŃSKA ur. w 1948 r. w Jabłonowie (gmina Płośnica), koło Działdowa – pisarka, poetka, wieloletnia nauczycielka. Obecnie poświęca się pasji, jaką jest literatura i szeroko rozumiana sztuka ludowa. Autorka tomików *A kiedy...* (2003) oraz *Supelki* (2006) oraz publikacji *Tam gdzie Wel draży wąwozy i Wkra nawadnia łąki. Obrazki wiejskie* (wiersze i gawędy pisane gwara, 2011). Współautorka almanachu działdowskiego pt. *W nurcie naszych strof* (2004). Uczestniczy w akcjach promocji czytelnictwa wśród dzieci i młodzieży. Jest autorką regionalnych legend: *Jak mrówki nauczyły Bartka mądrości* oraz *Dwie Wkry*.

— A co, nie mówiłem? Kobieta za warkocz stoi przybita.
— Skąd wiesz?
— A wiem.
— Sąsiedzie, chodźcie ze mną. Sam nie wejść.
— Musisz. Przeżegnaj się i wejdź. Zapytaj, kto ona jest i czemu tak robi.
Nie trzęś portkami. Ona jest bardziej nieszczęśliwa i przerażona niż ty. Ale jak będzie chciała, żebyś ją od razu uwolnił, to tego nie rób. Dopiero aż ci wszystko opowie.
Chłop rad nierzad udał się pod drzwi stajni. Otworzył je. Przeżegnał się i choć serce miał pod gardłem, drżącym głosem przemówił do nieszczęsnej:
— Kobieto, kim jesteś i po co tu przychodzisz?
— Uwolnij mnie, a ci powiem.
— Nie ma mowy. Najpierw odpowiedz na moje pytanie. Potem dopiero puszczę cię wolno.

Kobiecina zaczęła:
Pochodzę z twojej dalekiej rodziny. Twój pradziadkowie trzymali mnie do chrztu. Pomylili się sromotnie przy odmawianiu pacierza i zamiast „Zdrowaś Maria” powiedzieli: „zmoraś Maryja” i tak od tej pory jestem zmorą związaną z diabłem. Długo już zaplatam te grzywy końskie, ale nikt mnie nigdy nie zobaczył, bo nie wiedział, jak to zrobić. Ty jesteś pierwszy. Możesz mnie wyzwolić z moich mąk.

— Ale dlaczego akurat moim koniom to robisz?
— Bo gałąź twojego rodu od dawien dawna była bogatsza od mojego. Panowała zawsze niezgoda pomiędzy twoim a moim rodem. Diabeł wystął mnie, żeby zniszczyć twój majątek. Niedługo te konie by padły.
— Co mogę dla ciebie zrobić?
— Zmów za mnie „Zdrowaś Maryja”. Pamiętaj, nie pomył się. Wtedy uwolnię mnie diabeł.

Chłop pochylił głowę i odmówił trzy zdrowaśki.
— Teraz uwolnij mnie. Dam ci już spokój na wieki.
Gospodarz uwolnił kobietę, a ta, przekraczając próg stajni, rozplynęła się niczym mgłą.
„Zdrowaś Maryja” — wyszeptał raz jeszcze gospodarz. Od tej pory robiło się cicho i spokojnie w gospodarstwie, a uwolniony od zmory do końca pozostał wdzięczny swojemu wybawcy sąsiadowi. A przy chrzcie świętym teraz nie odmawia się już zdrowasiek, żeby broń Boże się nie pomylić.

WALDEMAR TYCHEK

Milcz, gdy do mnie mówisz

W obecnych, jakże trudnych dla mężczyzn, czasach, nabieram przekonania, że ci, którzy twierdzą, iż język jest głównym i niezastąpionym narzędziem komunikacji, mylą się i zdecydowanie nie mają racji.

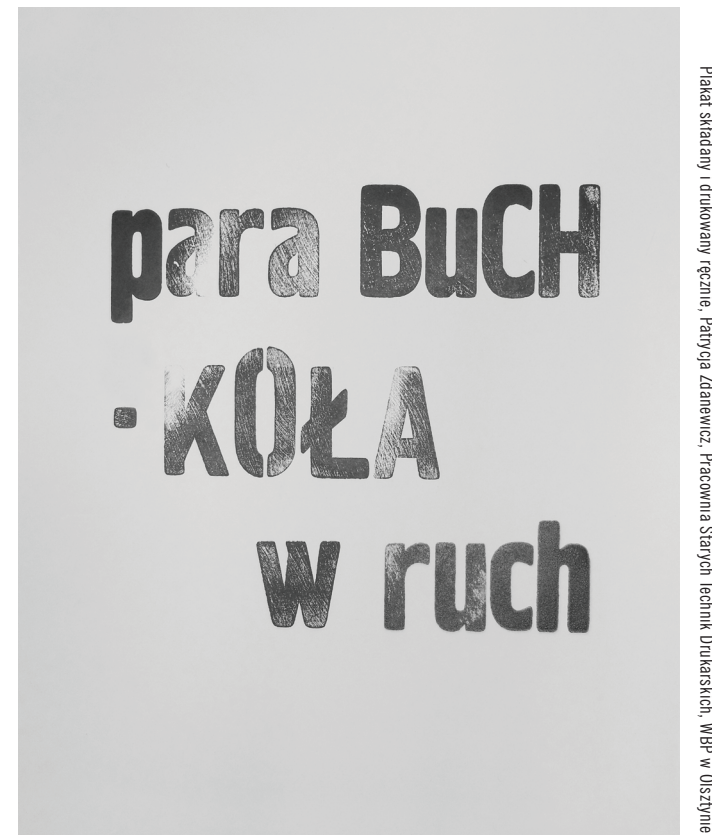
Gdyby na przykład zapytać dzisiejszą młodzież, jakie zna czasowniki poślikowe, to z dużą dozą prawdopodobieństwa znajomość owa ograniczyłaby się do podania dwóch najbardziej popularnych, a mianowicie: jeść i pić. Ta nieco przekorna konstatacja jest wynikiem pewnej ogólnej zasady wynikającej z reguł rządzących naszym życiem, a mianowicie — pierwszą połowę życia tracimy, żeby zrozumieć starych, a drugą, żeby zrozumieć młodych. I wcale nie jest to takie proste. Nie tak dawno, gdy wyznawaliśmy miłość, pisaliśmy w liściku „kocham cię” i wszystko było jasne. A dzisiaj? Jak nie napiszesz KO[] - [4m C]3, to żadna młoda, pokemoniasta dziewczyna nie zrozumie.

Mowa ciała też stroi nam figle. Pomijając już fakt, iż jest narzędziem psychomanipulacji, niektóre części ciała ludzkiego zachowują się w sposób zdumiewający. Jeśli np. klepie się faceta w plecy, to jemu natychmiast odwraca się głowa. Ciekawe. Jeżeli chodzi o kobiety, to ich reakcja w takim przypadku może być zasadniczo odmienna — w zależności od rodzaju sztuk walki, jakie trenuje.

Natomiast jakby nie patrzeć, komunikacja pomiędzy kobietą i mężczyzną zawsze jest ciekawa. Mężczyzna musi tylko uważać, żeby żonie nie oznajmiać zbyt często „wiem wszystko”, bo zapyta go, w którym roku była bitwa pod Trafalgarem i może powstać niewypał w ich wzajemnych stosunkach. Mężczyzna dodatkowo powinien często stosować się do odkrycia Newtona, który, kiedy jabłko spadło mu na głowę, pierwszy zauważył, że spadło w dół, a nie w górę. W związku z tym, znając reakcje swojej żony, mężczyzna powinien częściej mówić sam do siebie, bo tylko wtedy będzie miał pewność, że ktoś go słucha. W każdym innym przypadku może spotkać się z reakcją typu: „Znów wychodzisz? Dokąd idziesz? Kiedy wrócisz?” — i są to bardzo trudne pytania, w przeważającej większości nie uznawane przez kobiety za retoryczne. Pamiętajmy, panowie, że kobiety lubią małowimnych mężczyzn, bo są

wówczas przekonane, że są słuchane i że za tym milczeniem może się kryć prawdziwa mądrość. W tym drugim przypadku najczęściej niestety doznają rozczarowań, bo nie jest to mądrość akceptowalna z ich punktu widzenia.

W szerszych kontaktach biznesowo-zawodowo-towarzyskich pamiętajmy, że ludziom wcale nie zależy na tym, aby mieli rację, a tylko by przyznano im rację. A poza tym nie wydaje wam się dziwne, że cechy, które podziwiamy u ludzi, takie jak: szczerość, prawdomówność, współczucie, uprzejmość i szlachetność są najczęściej współczynnikami niepowodzenia?



Plakat składany i drukowany ręcznie, Patrycja Zdaniewicz, Pracownia Starych Technik Drukarskich, WBP w Olsztynie

